



Rys. W. Fuglewica

Po II Kongresie
Nauki Polskiej
str. 1, 3, 10

Marek Adam Jaworski
Dziesięć dni
we Lwowie str. 5

„Zapole“
str. 4

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 29 VII 1973 Nr 15 (527)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Nad problemem kształcenia nauczycieli

RAZ A DOBRZE

Maciej Podgórski

PODOBNO przeszło 200 tys. nauczycieli w całym kraju nie legitymuje się wykształceniem wyższym. Piszę „podobno”, gdyż nawet wydane w lutym 1973 roku „Założenia i tezy raportu o stanie oświaty” nie potrafią tej liczby sprecyzować. Raz mówi się tam o „około 200 000 aktualnie czynnych nauczycieli, którzy nie mają wykształcenia wyższego” (str. 46), innym razem o „około 289 tys. nauczycieli nie posiadających wyższego wykształcenia i pełnych kwalifikacji do wykonywania swej pracy” (str. 92).

„Pełne potrzeby w zakresie dokształcenia i kształcenia nauczycieli dla potrzeb nowego modelu oświaty będą znane po zakończeniu szczegółowego spisu nauczycieli. Znajac kwalifikacje nauczycieli, ich specjalność wyuczoną i wykonywaną, strukturę wieku i staż pracy w zawodzie, można będzie opracować konkretny program ich dokształcania i kształcenia” — powiada cy-

towany dokument. Z drugiej strony stwierdza się tam, że dotychczasowa „wielość form kształcenia, wynikająca z braku konsekwentnej, perspektywicznej koncepcji wzoru osobowego nauczyciela, powoduje znaczne zróżnicowanie poziomu wykształcenia nauczycieli uczących w jednej szkole”. Jak dotąd, pewne jest jedno — pilna potrzeba zdobywania przez czynnych nauczycieli wyższego wykształcenia w uczelniach akademickich, zapewniających odpowiedni poziom owego wykształcenia, zarówno pod względem wiedzy przedmiotowej, jak i pedagogiczno-psychologicznej.

W początkach bieżącego roku w Krakowie zostało zawarte porozumienie między Ministerstwem Oświaty i Wychowania a Ministerstwem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, tzw. porozumienie krakowskie, którego urzędowy dokument nosi tytuł: „Koncepcje, zasady i formy kształcenia, dokształ-

Dokończenie na str. 6—7

28 VII 1973
BERLIN

X ŚWIATOWY FESTIWAL
MŁODZIEŻY I STUDENTÓW



PO II KONGRESIE NAUKI POLSKIEJ

W związku z zakończonym II Kongresem Nauki Polskiej drukujemy trzy materiały. Pierwszym z nich jest przemówienie dyrektora Instytutu Filozofii i Pedagogiki UMCS prof. dr. hab. Zdzisława Cackowskiego, wygłoszone na zebraniu zespołu problemowego „Nauka a rozwój społeczny kraju”. Dwa następne to rozmowy: z I sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR na UMCS prof. dr. hab. Mieczysławem Sawczukiem oraz z kierownikiem Katedry Melioracji i Budownictwa Rolniczego Akademii Rolniczej w Lublinie prof. dr. hab. Stefanem Ziemińskim.

Myślenie bez perspektywy jest niebezpieczne

Zdzisław Cackowski

KONGRES Nauki Polskiej jest formą rozmowy o sprawach życiowej doniosłości dla całego naszego społeczeństwa. Jednym z partnerów tej rozmowy jest kierownictwo kraju wraz z całym społeczeństwem, drugim zaś — środowisko naukowe. Od prawd, które partnerzy ci wzajemnie sobie powiedzą i wzajemnie od siebie przejmą, zależy w istotnej mierze skuteczność praktycznego ich współdziałania w dziele wszechstronnego rozwoju i wykorzystywania nauki.

Z racji odmienności społecznych ról, każda ze stron dialogu formuluje i adresuje do strony drugiej swoje prawdy i postulaty, które są tylko cząstkami szerszej prawdy społecznej. Różniąc się od siebie, prawdy te winny być przyjęte przez każdego z adresatów, bowiem dopełniają się one wzajemnie i razem dopiero tworzą całość świadomościową, która może sterować społecznie pożądanym działaniem praktycznym. Każda jednokierunkowa komunikacja musi być w tej sytuacji społecznie szkodliwa.

Jaką prawdę główną — jak mi się wydaje — formułują ciągle środowiska naukowe z zamiarem przeobrażenia nią świadomości ludzi wszystkich szczebli władzy i wszystkich warstw społecznych? Oto jak bym tę prawdę sformułował. Rozwój nauki, jej upowszechnianie oraz praktyczne wykorzystywanie jest bardzo kosztowną formą społecznej działalności, ale społeczna doniosłość jej rozwoju czyni owe wysokie koszty koniecznymi i opłacalnymi, pod warunkiem wszakże, iż zadania stawiane nauce są współmierne z posiadaniem już przez nią zasobami intelektualnymi, a dostarczane środki materialne — współmierne z zadaniami. Drastyczne naruszenie postulatów współmierności zadań i środków marnotrawi — na skutek dużego rozrzutu — środki i niszczy zasoby intelektualne, bowiem ludzie przywykają do pracy dającej tylko półefekty.

Dokończenie na str. 3

Roman Gorzelski

Elegia

Elegię na śmierć twoją w świat słowami wbijam
litera po literze myśl pełnie powoli
garści słońca zabrakło nieistnienie boli
otwarte szybkim lotem jak kula niczyja

Czemu oczu twa głowa już otworzyć nie chce
oczu przecież tak barwnych jak życie na ziemi
a wśród gwiazd rozżarzonych stoją ludzie niemi
cicho do słów konania starają się dożyć

Już przecięta olowiem opadła w nim cisza
cicho śniegi wiatr z bieleń otrzepuje słyszę
ktoś mówi że na niebie zgasło jedno słońce

Ziemia lata odkręca z pochylonej osi
może kiedyś zmartwiła planeta poprosi
by wrócił tu ludzie choć przed światła końcem

Henryk Słysz

Do ciebie szedłem

Lucynie

Do ciebie szedłem mówić o wzgórzach
uchodzących kłębam i łąk
w pobliżcie
i o kochaniu mówić choć nie umiem kochać
Do ciebie szedłem przez płucne tubiny
wielkie czerwcowe ciepło dobrzejące trawy
Lecz nie spotkałem już nocy jak tamta
ni dłoń otwartych na drodze
Naprzeciw szczerą twą nieobecność
i włosy splete zaduchem narkoty

KULTURA 1973



Literatura

● Osiem wydawnictw, w tym Wydawnictwo Lubelskie, rozpocznie w tym roku druk międzywydawniczej serii książek dla młodzieży, najszerszej wartościowej pod względem litero-artystycznym. Do końca roku mają ukazać się 23 tytuły, a wysokość nakładów powinna zaspokoić potrzeby rynku.

● Przy Oddziale Warszawskim ZLP powstał Klub Dramatopisarzy, który będzie się zajmował propagowaniem dramaturgii rodzimego, torowaniem drogi debiutom, sprawami upowszechnienia dorobku polskich autorów scenicznych, a także problemami związanymi z współpracą teatrów z pisarzami.

● Wydawnictwo Literackie w Krakowie rozpoczęło pełne wydanie „Pism” T. Pełetera i przygotowuje pełne wydanie „Dzieli” J. Przybosi. W związku z tym prosi wszystkich, którzy posiadają materiały związane z życiem i twórczością obu pisarzy, o ich udostępnienie (Kraków, ul. Długa 1).

● Wydawnictwo Poznańskie w serii dzieł pisarzy skandynawskich wydało przekład jednej ze słynnych sag staroizlandzkich z XIII wieku — „Saga rodu z Laxdalów”.

● Edmund Niziorowski pisze równocześnie dwie książki. Jedną dla dorosłych, której akcja rozgrywa się na Wybrzeżu w środowisku inteligencji technicznej, a drugą dla dzieci pod prozatorskim tytułem „Awantury kosmiczne” — akcja toczy się w jednej ze szkół.

● W Rumunii ukazały się trzy nowe pozycje literatury polskiej: zbiór nowel B. Prusa pod ogólnym tytułem „Anielka”, J. Kawalec „Tęcza jastrzęb” oraz J. Parandowski „Niebo w płomieniach”.

Teatr

● Wrocławski Teatr Polski zamknął obecny sezon polską prapremierą sztuki Eugena Ionesco „Gra w zabijanie”, reżyserem i inscenizatorem był Jerzy Tomaszewski, dyrektorem Pantomimy.

● Teatr Śląski im. Wyspiańskiego z Katowic pokazał „Świętoszka” Moliera w Brnie, Pradze i Bratysławie.

● Radzieckie czasopismo „Teatr” zamieściło obszerny esej pt. „Profil polskiej reżyserii” pióra Natelli Baszindżian i Bolesława Rostockiego.

● Dwa teatry hrytyjskie wystąpiły z nowymi inscenizacjami sztuki Czesława Oid Vite. Wystawił „Wianowy sad”, a teatr w Chichester — „Czajkę”.

● Rolf Hochhuth, autor głośnej sztuki „Namiętnik”, pisze nową komedię polityczną, której akcja toczy się w współczesnej Grecji po zaprowadzeniu tam w 1968 r. reżimu wojskowego.

Sztuka

● Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” powstał przed dwudziestu laty. Jego założycielem był kompozytor i dyrygent Stanisław Hańdla. „Śląsk” dał dotychczas 2500 koncertów, które oglądało około 11 milionów osób, z czego 500 występów w 27 krajach świata.

● Związek Polskich Artystów Fotografików uruchomił w swojej siedzibie (Warszawa, ul. Żelazka) galerię-kiermasz fotografii artystycznej. Można tam zakupić lub zamówić zdjęcie artystyczne na dowolny temat.

● W zamku w Szydłowcu czynna jest wystawa dzieł sztuki ludowej Kielecczyzny, nagrodzonych na regionalnym konkursie. Na konkurs ten 426 twórców nadesłało 4700 prac.

● Pierwsza w Polsce galeria plastyczna w klubie hotelu robotniczego otwarto na Słuzewcu w Warszawie.

● W Lipsku i w Holandii była prezentowana wystawa „Konstruktivism w Polsce”, przygotowana przez łódzkie Muzeum Sztuki.

● Przez dwa tygodnie przebywał w Polsce Dagestański Zespół Tańca „Lezginka”.

Muzyka

● Najstarsza w kraju uczelnia muzyczna — warszawska PWM — będzie przekształcona na Akademię Muzyczną, co łączy się z częściową zmianą zakresu i poziomu nauczania oraz zwiększeniem wymagań wobec studentów. Jak również rozszerzeniem prac naukowych.

● Sopot poza festiwalami piosenki będzie gościł w czasie lata zespół „Mazowiec”, teatry Nowy z Łodzi i Komedia z Warszawy oraz kilka kabaretów i zespołów estradowych.

● Wyższe szkoły muzyczne w Katowicach i Weimarze podpisały porozumienie o współpracy obejmujące wymianę studentów i koncertów.



Fot. L. Demidowski

KONKURS LITERACKI DLA MŁODZIEŻY

Przy Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie powstaje Klub Literacki dla młodzieży szkół średnich. W związku z tym WDK przy współpracy z Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie, redakcjami: „Nowego Wyrazu”, „Poezji”,

„Kamieni” i „Standardu Ludu” organizuje konkurs na cykl wierszy i krótki utwór prozą dla młodzieży szkół średnich z województwa lubelskiego. Konkurs jest zastrzeżony wyłącznie dla uczniów szkół średnich. Uczestniczący w konkursie powinni nadesłać w terminie do dnia 15 października 1973 roku (obowiązuje data stempla pocztowego) cykl pięciu wierszy lub utwór prozatorski nie przekraczający 10 stron maszynopisu. Teksty należy nadsyłać w opatrzonej kopertce, do której powinna być dołączona druga kopertka z nazwiskiem i miejscem zamieszkania

autora, nazwą szkoły, do której uczęszcza i klasą. Nagrodzone i wyróżnione utwory zostaną opublikowane w oddzielnej płachcie poetyckiej i opublikowane w Druku Literackim. W skład jury konkursu wejdą przedstawiciele zainteresowanych instytucji jak również pracownicy nauki i Instytutu Badań Literackich PAN. Łączna kwota nagród — nagrody rzeczowe — wynosić będzie 3 500 złotych do podziału wg uznania jury. Sekretariat konkursu mieści się w Wojewódzkim Domu Kultury: 20-010 Lublin, ul. Podgrodzie 3, sekretariat.

Świat, w którym żyjemy

WSPÓLNICY OSZUSTÓW

„Komputer spełnia wszystkie warunki, które pozwalają na przestępstwo doskonałe: jest niewinny, nie ma wrażliwości i wszystko... zapomina” — stwierdza paryski „L'Express”. Aby okpić klientów i ekspertów — kontynuuje pismo — wystarczy okpić maszynę cyfrową. Jest to rzeczka zupełnie możliwa dla programistów, którzy opracowują instrukcje dla maszyny, lub taśmy magnetofonowej i wreszcie dla operatorów, którzy regulują czynności maszyny. Dlaczego to ludzie informatyki mieliby być wszyscy aniołami? W gorące przechodzenia na komputery kierownicy przedsiębiorstw w ogóle nie postawili sobie tego pytania. W każdym razie zmuszeni byli ślepo ufać swym specom od informatyki, ponieważ sami w obrzynie większości nie z niej nie rozumieli. Do tego trzeba dodać osobliwe, lecz rozpowszechnione, przekonanie, że wysokiemu poziomowi technicznemu odpowiada wysoka moralność.

Dla oszusta komputer jest istotą doskonałą, niezdołną odróżnić urojenia od rzeczywistości, subskrybenta z krwi i kości od klienta fikcyjnego, elementu prawdopodobnego od nieprawdopodobnego... Jednakże owe dane i instrukcje, przekształcone w konkretne wyniki w ukrytym sercu jednostki arytmetycznej i logicznej, wychodzą z komputera w postaci dokumentów. Dokumentów realnych, namacalnych, które sprawiają pozór całkowicie autentycznych. Za pomocą tych dokumentów będzie się później rozdzielać dywidendy, sporządzać czeki i zawierać transakcje. Dokumenty te zostaną również dokładnie sprawdzone przez kontrolerów, którzy jednak nie im nie będą mogli zarzucić.

Oszust — spec od komputerów — ma kilka sposobów nabrania maszyny jak i jego właścicieli. Najprostszy polega na fałszowaniu danych. Komputery spec, odpowiedzialny za system rent w jednym z wielkich zachodnioeuropejskich przedsiębiorstw chemicznych, w ogóle nie rejestrował zgonów emerytowanych pracowników, przelewając automatycznie ich renty na konto, które w tym celu utworzył. Inny programista z NRF najwyraźniej w świecie wymyślił fikcyjnych pracowników. Został zdemaskowany jedynie dlatego, że był zbyt żarłoczny. Dyrekcja w końcu odkryła, że masa zarobkowa wykazywała faktycznie zbyt wysoki wzrost. Natomiast ów pierwszy od martwych dusz wpadł przez przypadek: pewnego dnia pakiet z perforowanymi kartkami rozspisał się. Przy ponownej segregacji okazało się, że wspomniany (zmarli) reńcisi mają ten sam numer konta. Oszust nie pomyślał uprzednio — tak pewny swego — by otworzyć osobne konta dla swych „klientów...”.

„PORNOTURYSTYKA”

Tygodnik „Time” zauważa, że ostatnimi czasy zaobserwowano nasilenie ruchu turystycznego między Hiszpanią a Francją. Po bliższym zbadaniu okazało się, że magnesem przyciągającym turystów hiszpańskich są filmy porno, które nie mają szans na rozpowszechnianie w Hiszpanii.

W czasie niektórych weekendów do miasta Permin-gnan przybywa aż 10 tysięcy turystów zza południowej granicy. Zjawiają się oni wypełnionymi do ostatniego miejsca autobusami. 8 dolarów opłaty za udział w takiej wycieczce obejmuje koszt przejazdu z Barcelony i jednego biletu do kina. W ciągu dnia owi przybysze koczują nad malowniczymi brzegami rzeki Basse. Wieczorem zapinają sale kinowe ułożony przedtem program pobytu tak precyzyjnie, aby w ciągu jednego wieczoru obejrzeć trzy lub cztery filmy porno. „Przyjechalimy tu — powiedziała do przedstawiciela pisma jedna z turystek — aby obejrzeć zakazane u nas filmy, tak jak amerykańscy turyści podróżują do Hiszpanii, aby ujrzeć walkę byków”.

Rozwój „pornoturystyki” wywołał oburzenie hiszpańskiej rzymsko-katolickiej hierarchii kościelnej.

FRANCUZI A TEATR

„Le Figaro Littéraire” bije na alarm: teatr paryski grozi największe niebezpieczeństwo w całej historii. Teatr przeżywa głęboki kryzys. Jeśli sytuacja nadal będzie się tak rozwijała, jak obecnie — 52 teatrom prywatnym w Paryżu grozi całkowite zniknięcie przed końcem tego wieku.

Globalny deficyt teatrów wynosi obecnie 7 mln. franków, zaś średnia frekwencja — 35 proc. Ten ostatni wskaźnik jest kluczem dla całego problemu. Teatr znajduje się w sytuacji przemysłu, który upłynia zaledwie trzecią część swojej produkcji, nie mogąc jednak magazynować nie sprzedanych towarów, równocześnie zaś, żeby przeżyć, musi w dalszym ciągu produkować w tym samym rytmie. Mamy tu do czynienia ze specjalnym wypadkiem błędnego koła. Jedynym wyjściem z impasu — to zwiększenie frekwencji. Tymczasem, jak wykazała przeprowadzona ankieta, na 4 mln paryżan, objętych badaniami, 2 400 000 nigdy nie chodzi do teatru, zaś 1 200 000 nigdy nie przekracza progu kina. Region paryski jest zatem — konkluduje pismo — ziemią misji kulturalnej.

DZIECIŃSTWO WŚRÓD HUKU BOMB

Agencja Reutersa pisze o reakcjach dzieci na wydarzenia w Irlandii Północnej. „Gdy rozległa się eksplozja pocisku rakietowego na zewnątrz szkoły podstawowej Vere Foster w dzielnicy Ballymirphy w Belfaście, dzieci automatycznie rzuciły się na podłogę, oczekując wstrząsu. Wiedzą one dokładnie, co czynić w takim wypadku, ponieważ był to czwarty tego rodzaju incydent w ciągu dwóch lat w szkole, którą dzieliła z żołnierzami brytyjskimi”.

Ale agencja donosi też o innych faktach. Oto 14-letnia dziewczynka, Joyce, z protestanckiego wschodniego Belfastu zobaczono pijącą alkohol z katolickimi chłopakami w centrum miasta. Gdy powróciła do swej dzielnicy, gang dziewcząt, do niedawna przyjaciółek, zebrał ją do naga i bił.

Wszystko to niepokoi nauczycieli i lekarzy. Dla wielu młodych, przyzwyczajonych do krwawych zjść w Ulsterze, nie widzą już oni żadnych szans w życiu. „Obecnie szpitale — stwierdził pewien lekarz — są zapelnione poszkodowanymi fizycznie, ale w przyszłych latach ich rolę przyjmą zakłady dla chorych psychicznie”.

EUROPEJSCY MURZYNI

Tak się nazywa na zachodzie Europy robotników cudzoziemskich. Jest ich dziś już około 9 milionów, a nawet według niektórych danych... 11 milionów. Dzięki nim rozwinięte kraje zachodnioeuropejskie mogą tanim kosztem i bez specjalnych trudności uzupełnić brakujące zasoby siły roboczej i zaspokoić swe potrzeby w zakresie „brudnych”, czy wyjątkowo ciężkich prac, których unikają rodzimi robotnicy. „Business Week”, który zajmuje się tym problemem, pisze, że obecnie Grecy produkują słynne szwedzkie kryształki, Arabowie zapewniają funkcjonowanie niezawodnego systemu kolei zachodnioeuropejskich, a we Francji robotnicy cudzoziemscy wytwarzają blisko połowę produkcji stali. Połowę także każdego samochodu z zakładów „Ford” w Kolonii wykonuje nie-Niemiec. Przy tym „Ford” pracuje tyłu Turków, że gazeciarze sprzedają przed bramą zakładów „Dziennik Turcki”. Krótko mówiąc, kwitnąca gospodarka Europy zachodniej przestałaby być kwitnąca, a w niektórych gałęziach nawet przestałaby istnieć, bez robotników cudzoziemskich.

Badania, przeprowadzone w rejonie Ruhry w NRF ujawniają, że 85 proc. wszystkich rodzin imigracyjnych mieszka w starych budynkach. Stoczeni są oni na dwukrotnie mniejszej powierzchni mieszkalnej niż zajmują zazwyczaj Niemcy. Ale za to placą trzykrotnie wyższy czynsz niż rodowici mieszkańcy NRF!

STEPAN Rudański to znany poeta ukraiński z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Urodził się w roku 1874 we wsi podolskiej niedaleko Winnicy w rodzinie popa. Uczył się w seminarium duchownym, ale je rzucił, w konsekwencji zaś ojciec odmówił mu pomocy materialnej. Zaczął studiować medycynę w Petersburgu, żyjąc w dużej biedzie, co później odbiło się na jego wstym zdrowiu. W stolicy zapoznał się ze środowiskiem literackim, tak rosyjskim jak i ukraińskim. Po ukończeniu studiów jako lekarz pracował w Jaltie przez 12 lat, aż do śmierci w roku 1873 — nie miał wtedy nawet 40 lat.

Pisać zaczął, jeszcze w seminarium, ballady pod wpływem Zukowskiego, Kozłowa, Szewczenki i pieśni ludowych. Najbogatszy okres twórczości S. Rudańskiego przypada na czas studiów petersburskich. Większość utworów ukazała się jednak dopiero po śmierci poety. Przygotował on wprawdzie do druku zbiorek swych wierszy, lecz cenzura kijowska nie pozwoliła mu go wydać. Dopiero w r. 1880 ukazał się w Kijowie pierwszy zbiorek wierszy Stepana Rudańskiego, pełne zaś wydanie utworów zrealizowali I. Franko i A. Krymski dopiero w latach 1895—1903.

Na twórczość poetycką S. Rudańskiego składają się ballady romantyczne, liryki, bajki tzw. „śpiwomowki” itp. Najcenniejsze są liryki i „śpiwomowki”. Są to krótkie utwory rymowane, w których rozwinięte zostaje na ogół jakieś przysłowie ludowe na przykładzie zdarzenia, też zwykle zaczerpniętego z anegdot ludowych. Wywołują one zwykle śmiech, gdyż zdarzenia są zabawne, autor podaje je z dużym ładunkiem ironii, szczególnie jeśli to dotyczy jego przeciwników ideowych. To właśnie Rudański zapoczątkował ów rodzaj wierszy, które później często spotykamy w

literaturze ukraińskiej. Na przykład Iwan Franko właśnie pod wyraźnym wpływem Rudańskiego napisał cykl wierszy „Nowe śpiwomowki”.

S. Rudański mniej był dotychczas znany jako folklorysta, zbierający przy każdej okazji co się dało z ukraińskiej twórczości ludowej. Przypomina nam o tym wydana niedawno w Kijowie książka pt. „Pieśni ludowe w zapisach Ste-



pana Rudańskiego”. Teksty umieszczone w książce pochodzą z olcystego Podola autora, wiele z nich leżało niepublikowanych. M. Szumada i Z. Wasylenko uporządkowali materiał tekstowy wraz z nutami i wydali w formie sympatycznej książki, która zainteresuje na pewno zarówno historyków literatury ukraińskiej, jak i folklorystów.

W części „Ohrzedny i pieśń obrzędowa” wydrukowano „Wesele Podolskie”, zapisałe przez poetę we wsi Chomutyńce w roku 1881, ze 134 pieśniami oraz opisaniami i tzw. „wesiłniami” (pieśni związane z nadejściem wiosny, które odpowiadają zachodnioukraińskmu „hajw-

kon”). Następny cykl to pieśni „rodzinno-obyczajowe”, ułożone według takich grup tematycznych, jak: zalewanie się, myślenie o ślubie, nieszczęśliwa miłość, rozstanie, zdrada, nierówność społeczna, życie rodzinne, sieroctwo, ciężka dola. Do większości tych pieśni dodano melodie. Wiele z nich znanych jest obecnie na całej prawie Ukrainie.

Umieszczono tu również 11 ballad ludowych i 9 pieśni historycznych, związanych ze znanymi z historii folkloru ukraińskiego dumaniami.

W cyklu pieśni „społeczno-obyczajowych”, stosunkowo bogato reprezentowanych, wydzielono takie grupy, jak: pieśni kozackie, rekruckie, żołnierskie, czumackie (czumaki to wędrowni handlarze na Ukrainie, znani od XV wieku, którzy najczęściej wozili sól z nad Morza Czarnego i Galicji, najciężkie i burzliwe (burlika na Ukrainie to człowiek bezdomny i bez stałej pracy). W pieśniach tych autor przedstawił dawne i współczesne stosunki społeczne. Ostatni cykl to kilkadziesiąt „pieśni żarliwych”.

Ponieważ oryginalna twórczość S. Rudańskiego mocno tkwi w pieśni ludowej, tak tematycznie jak i formalnie, wydanie omówionego zbioru ma ważne znaczenie dla badaczy literatury ukraińskiej XIX wieku. Przez ten zbiorek wzbogaciła się również folklorystyka ukraińska o jeszcze jeden zbiorek pieśni, zebranych więcej niż sto lat temu przez wytrawnego miłośnika i zawziętego twórcę ludowej.

M. L.

1) Narodni pieśni w zapisach Stepana Rudańskiego. Uporządkowane, wstępna statia i przytuki N. S. Szumada. Notnyj material uporiadkował Z. I. Wasylenko, Kijów, wyd. „Muzyka na Ukrainie”, 1972, s. 292.

Myślenie bez perspektywy jest niebezpieczne

Dokończenie ze str. 1

Jaka prawda główną adresują do środowisk naukowych ośrodki władzy i różne warstwy społeczeństwa? Oto, jak tę prawdę słyżę. W porównaniu ze swoimi materialnymi możliwościami społeczeństwo ponosi ogromne i ciągle rosnące wydatki na rzecz rozwoju nauki. Wraz ze wzrostem tych wydatków rosną — zwłaszcza w ostatnich latach — społeczne oczekiwania, którym środowisko naukowe sprostać może tylko pod warunkiem maksymalnej mobilizacji wszystkich swych intelektualnych i moralnych sił; chodzi generalnie o to, by materialne wyposażenie nauki optymalnie funkcjonowało i owocowało. Godzi się w tym miejscu podkreślić, że bogate i kosztowne zbiory biblioteczne, skomplikowane i kosztowne aparaty oraz laboratoria mogą funkcjonować i przynosić owoce, ale tylko i wyłącznie wtedy, gdy pewien szczególny i unikalny aparat będzie właściwie ustawiony i dostatecznie sprawny; ten szczególny aparat — to ludzka głowa, moralnie, teoretycznie, metodologicznie i warsztatowo przygotowana. Z tego to względu środowiska naukowe ze szczególną rozwagą i troskliwością dzielić winny otrzymywane środki materialne oraz istniejące siły intelektualne między nabywanie i tworzenie badawczej aparatury technicznej, a wyszukiwanie i kształtowanie owego szczególnego aparatu — twórczego i sprawnego umysłu ludzkiego.

Tylko wtedy, gdy harmonijnie rozwijać się będzie i pogłębiać świadomość o bu partnerów tego dialogu, tylko wtedy nauka będzie mogła się pomyślnie rozwijać, a jej przedstawiciele i twórcy będą mieli pełną moralną satysfakcję z tego, iż służą społeczeństwu. Jakakolwiek nierównomierność rozwoju świadomości obu, omawianych tu, stron może mieć przykre społeczne następstwa: szkodzi społecznie skutki niesie zarówno przekonanie, że w rozwoju nauki i nauczania wyższego można dokonywać cudów samą tylko dobrą wolą i czystym intelektem, jak i przekonanie przeciwne — że rozwój nauki i nauczania załatwić mogą automatycznie same inwestycje, zakupy książek i zakupy aparatury naukowej czy dydaktycznej niezależnie od tego, na jakim poziomie teoretycznym, metodologicznym i moralnym są ludzie, którzy aparaturą i książkami dysponują.

Takie są, moim zdaniem, ogólne i wstępne warunki społeczne właściwego powiązania nauki z życiem, teorii naukowej z praktyką społeczną.

Co zaś do rodzajów więzi nauki (to znaczy teorii naukowej) z szeroko pojętym życiem społecznym (techniką, organizacją życia społecznego, kształtowaniem postaw ludzkich, moralnych, obywatelskich), to chciałbym wyróżnić trzy kanały wartościowe i wskazać jeden pozorny, karykaturalny. Mam więc, po pierwsze, na myśli odkrycia teoretyczne, które prowadzą do wynalazków technicznych oraz usprawnień społeczno-organizacyjnych. Po drugie — choć równorzędne z pierwszym co do znaczenia — chodzi mi o kształcenie kadr, kształcenie i wychowanie twórczych umysłów i charakterów dla wszystkich dziedzin życia społecznego. Wreszcie — po trzecie — chodzi o wpływ nauki na sposób myślenia społecznego, o inspirowanie przez naukę ludzkiej, moralnej i obywatelskiej wrażliwości, o inspirowanie przez nią filozofii, sztuki, w szczególności literatury... Głębia i zakres tego szerokiego kulturowego działania jest istotnym miernikiem dojrzałości nauki, która w czasach rewolucji naukowo-technicznej staje się przecież dominującą, a więc i najbardziej odpowiedzialną społecznie, formą kultury.

Pozorną zaś formą więzi nauki z życiem jest wykonywanie wąsko technicznych, nieteoretycznych (a więc i nienaukowych) zadań, które winni być w stanie wykonywać dobrze przygotowani wychowankowie pracowników naukowo-dydaktycznych; gdy ci ostatni nie przygotowują do pracy swych uczniów, gdy zawodzi zatem jeden z istotnych kanałów więzi nauki z życiem, wówczas mistrz musi zastępować ucznia, uczonego — laboranta, a faktyczną i głęboką więź nauki z życiem zastępowana jest pozorami.

Spełnianie przez naukę praktycznych funkcji społecznych z konieczności zakłada, że nauka jest sobą, to znaczy jest wiedzą i działalnością poznawczą, która znajduje się i jest uprawiana na dostatecznie wysokim poziomie teoretycznym; wiedza faktograficzna zyskuje — jak wiadomo — wartość naukową dopiero przez powiązanie jej z teorią. Ta teoretyczna istota nauki ma szczególne znaczenie praktyczno-społeczne w sferze kształcenia i wychowywania kadry.

Ograniczę swoje uwagi do podniesienia tylko dwóch aspektów tej sprawy. Aspekt pierwszy dotyczy — rzecz pozornie paradoksalna — praktycznego znaczenia czysto-poznawczej motywacji w studiowaniu i poznawaniu oraz warunków kształtowania takiej motywacji.

Rozumiejąc konieczność odwołania się do materialnych bodźców pracy, stwierdzić chciałbym, że nie bardziej nie intensyfikuje wysiłku człowieka niż tak zwana czysta motywacja, czyli radość ze sprawnego i skutecznego wykonywania samego działania, które służy moralnie i społecznie godziwym celom. Z tego to względu — jak wiadomo — celem każdego mądrego nauczyciela jest stworzenie takich sytuacji dydaktyczno-wychowawczych, w których uczniowie z radością poznawania czerpią najwyższą inspirację dla swych czynności poznawczych. Przecież ta czysta, najwyższa motywacja pracy jest, jak to pokazał Marks, wskaźnikiem najwyższego rozwoju społeczeństwa.

Nauka jest tym terenem społecznego działania, na którym owa najwyższa motywacja pracy powinna działać najszerzej i sięgać najgłębiej. Wiadomo jednak, że kształtowaniu takiej motywacji nie sprzyja nauczanie czysto faktograficzne, angażujące jednostronnie pamięć, nie sprzyja budzeniu takiej motywacji nauczanie wąsko instrumentalne, czysto zawodowe, wyzbyte czysto-poznawczych, teoretycznych ambicji.

Aspekt drugi tej samej sprawy wiąże się z modnym wręcz dzisiaj hasłem integracji nauk i rolą teorii w tej integracji. Postu-

jako element pewnej całości, wiedza o nim musi zostać pogłębiona aż do poziomu teorii, to znaczy wiedza o nim musi osiągnąć poziom wiedzy naukowej. Aby różnorodne przedmioty szczegółowo-specjalistycznych zainteresowań badawczych połączyć ze sobą, każdy z nich musi być wiązany z dostatecznie dużą wysokością teoretyczną.

Integracja nauki zatem i jej teorytyzacja — to dwie różne nazwy tego samego; bez pogłębionej teorytyzacji nauki postulat integracji nie może być spełniony, a podejmowanie szerokokierunkowych zadań badawczych będzie napotykało istotne trudności.

Pogłębiona natomiast teoretyczna nauka, to znaczy nauka teoretycznie dobudowana, prowadzi do problematyki filozoficznej. Filozofia jest integralną częścią kultury ludzkiej i wytworem tej kultury; nie jest ona wyłącznie, ani nawet przede wszystkim, wymysłem akademickich filozofów, lecz wyrasta z poziomu nauki danego społeczeństwa, ze sposobu materialnego i społecznego wartościowania, które dana cywilizacja ludzka przyjmuje, wyrasta z praktyki społeczno-politycznej i z realnych oraz świadomych przyjmowanych perspektyw rozwojowych. Tylko filozofia tak głęboko i wielorako z życiem powiązana i z życia wyrastająca może zawierać dyrektywy dla życia wartościowe.

Wśród kierunków praktyczno-społecznej działalności filozofii wymienilibym trzy zasadnicze. Myślę, po pierwsze, o filozofii jako ogólnoteoretycznej i ogólnometodologicznej świadomości nauki, która przez filozofię ujawnia się (gdy jest teoretycznie dobudowana) jako naukowy światopogląd ludzi i ogólny naukowy sposób ich myślenia; każda szczegółowa dziedzina zawiera przecież i upowszechnia zasady myślenia, które w pewnej części są powszechnie obowiązujące, a zatem mają filozoficzne znaczenie. Chodzi mi — po wtóre — o filozofię w jej staro-greckim znaczeniu, o filozofię jako naukę mądrości, nauczycielkę życia indywidualnego, która często jest nam potrzebna jak lekarz, bądź też jak poeta. Po trzecie wreszcie — chodzi o filozofię jako teoretyczną podbudowę dalekosiędnego programu społecznego i teoretycznie opracowany system wartości społeczno-moralnych, które społeczeństwo chce zrealizować poprzez socjalistyczną przebudowę społeczną.

Mówiono tu o upowszechnianiu się marksistowskiej kultury filozoficznej w Polsce; skoro tak, to mam prawo powiedzieć: jak wiadomo, filozofia, która najistotniejsze swe treści teoretyczne wyprowadziła z faktycznego ruchu społecznego, szeroko pojętej praktyki społecznej, i która praktyczne powołanie nauki i teorii naukowej zawierała w najbardziej elementarnych swych tezach, jest filozofia marksistowska. Potrzeba odwołania się do dalekosiędnego marksistowskiego widzenia społecznego rozwoju jest tym silniejsza i tym bardziej życiowo ważna, im szybciej rozwija się życie społeczne. W świecie bardzo szybkich przemian myślenie bez dalekosiędnego perspektywy teoretycznej jest równie niebezpieczne, jak skracanie zasięgu reflektorów przy gwałtownie rosnącej szybkości pojazdu.

Zdzisław Cackowski



Prof. dr hab. Zdzisław Cackowski

Fot. CAF (Archiwum)

lat integracji nauk przestał być dzisiaj westchnieniem skłonnych do syntez filozofów. Pewna integracja nauk staje się koniecznością, bowiem w warunkach rozproszkowania nauk nie można jej stawiać szeroko, ogólnospołecznych zadań badawczych. Otóż właśnie — warunkiem podstawowym integracji nauk nie jest i nie może być sfera działań organizacyjnych, nie działamy też na tym polu wiele przez kaznodziejskie nawoływanie do integracji. Drogą zasadniczą jest tu istotne teoretyczne pogłębienie wszystkich specjalistycznych dziedzin wiedzy naukowej. Aby jakiś szczegółowy przedmiot badań specjalistycznych mógł być dostrzeżony

Czas na rozwój jakościowy

Rozmowa z prof. dr. hab. Mieczysławem Sawczukiem

— Kongres określono jako dialog pomiędzy partią i rządem a środowiskiem naukowym. Jaki był — mówiąc najkrócej — sens i cel tego dialogu?

— Myślę, że dalszy społeczno-gospodarczy rozwój naszego kraju nie był już możliwy bez podjęcia tego dialogu. W walce o czas, o wydłużenie kroku, o tworzenie lepszych warunków naszego życia nauka nie może i nie chce pozostać na uboczu. Perspektywy rozwoju kraju zostały nakreślone w uchwale VI Zjazdu, a następnie przez kolejne plenarne posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR oraz komisje ekspertów powołane przez rząd. Jak pamiętamy, w kwietniu odbyła się w KC narada poświęcona naukom społecznym. Bo jeżeli mamy mówić o pełnym rozwoju społeczeństwa socjalistycznego, to trzeba, aby technika była nasycona treściami społecznymi. Nie chcemy przecież, aby u nas, jak w państwach kapitalistycznych, królował homo technicus. Socjalizm stawia człowiekowi bardzo wysokie i wszechstronne wymagania i dlatego, co podkreślano na Kongresie, nie można tworzyć sztucznych podziałów na takie czy inne nauki. Jej różne dziedziny muszą się uzupełniać, wspomagać. Musimy wspólnie podjąć i rozwiązać węzłowe problemy o wielkim znaczeniu społeczno-gospodarczym.

— Nasz UMCS stale się rozwija, powstają nowe wydziały i kierunki. To chyba stwarza wiele trudnych problemów?

— UMCS rzeczywiście rozwijał się gwałtownie, ale raczej wszędy. Coraz częściej mówi się, że widać granice tego ekstensywnego rozwoju i że czas położyć znaczący nacisk na rozwój jakościowy. A tu wszystko zależy od kadr. Dlatego też Komitet Uczelniany PZPR podjął specjalną uchwałę w sprawie kadr. Jeżeli chcemy, aby nasza uczelnia była równorzędna z najlepszymi, aby spełniała swoje zadania naukowo-dydaktyczne, musimy postawić na rozwój kadry naukowej. W tej chwili mamy 17 profesorów zwyczajnych, 39 profesorów nadzwyczajnych,

60 docentów habilitowanych i 32 docentów mianowanych — co jest zbyt małym potencjałem wobec 10 tys. studentów. Podobnie jest z kadrą pomocniczych pracowników nauki.

— Widziałem w uczelni wykres obciążeń pracowników naukowych zajęciami dydaktycznymi. Z reguły przekracza ona dwa, trzy, a niekiedy nawet pięć razy normę, czyli tzw. pensum. W znacznej większości przypadków wynika to z braku odpowiedniej kadry. Ale myślę, że czasem z innych względów, w tym i chęci nadmiernej zarobku, co uniemożliwia prawidłowe wykonanie obowiązków, jak również niepotrzebnie przeciąga przewody doktorskie czy nawet habilitacyjne...

— W swojej uchwale Komitet Uczelniany stanął na stanowisku, że pracownik nauki nie może przekraczać podwójnego pensum. Jednocześnie podejmujemy intensywne starania o zwiększenie kadry naukowej. Na stanowiska asystentów przyjmujemy w zasadzie tylko stypendystów naukowych, a więc chyba najlepszych studentów. Pragniemy zwerbować



Fot. CAF (M. Polaki)

wać pracowników z zewnątrz, spoza Lubelszczyzny i tu władze wojewódzkie oraz miejscowe obciążają nam dużą pomoc. Chcemy także widzieć na uczelni wybitnych praktyków w swoim zawodzie. Nie mamy nie przeciwno temu, aby pracownicy nauki zarabiali na pracach naukowych. Zasadniczą jednak sprawą są postawy ludzi. Chcemy mieć pracow-

Dokończenie na str. 10

Są możliwości trzeba działać

Rozmowa z prof. dr. hab. Stefanem Ziemińskim

— Rolnictwo nabiera coraz wyższej rangi w naszej gospodarce. Jak Pan Profesor widział jego miejsce w obradach Kongresu?

— Obrady toczyły się w sekcjach, więc trudno to określić. Ale poza tym trudno porównywać rzeczy nieporównywalne, np. rozwój nauk społecznych i rozwój nauk biologicznych. W każdym razie nauki biologiczne — a rolnictwo to przecież biologia stosowana — były uwzględnione w szerokim zakresie. Chociaż dominowały wyraźnie nauki społeczne, a następnie technika. Nauki społeczne związane są z układem sił społeczno-politycznych. Natomiast jeżeli chodzi o technikę to trzeba pamiętać, że w codziennej praktyce korzysta ona z pomocy potężnych mecenasów w postaci kopalń, hut, różnych zakładów pracy. Na stosowany postęp techniczny mają one pokazać środki i bywa, że przemysł powina naukowcom; na rozwój nauk dostaniecie ile potrzeba, jeżeli dacie nam to, co potrzeba.

— Nawet trudno porównywać tu możliwości np. naszej FSC i PGR Przytoczno...

— Właśnie, rolnictwem nikt się w taki sposób nie opiekuje, nawet Ministerstwo Rolnictwa w ograniczonym stopniu. Także i w samych pegeerach brak jeszcze zrozumienia dla potrzeb nauki. Wydział Rolnictwa PWRN miał nam zlecać różne zadania, ale w przeszłości były takie układy, że w samym Wydziale nie wiadano, co mu potrzeba i czego od nas żądać. Automatycznie zaś nie chciało się nic działać. W rezultacie w naucz rolnictwo przesunęło się na dalsze miejsce. Dziś robi się rzeczywiście dużo dla rolnictwa, ale wszystko nie da się szybko odrobić. Tak samo odczuwamy jeszcze konsekwencje niewłaściwej dawniej polityki personalnej, gdy pracownik naukowy zarabiał dwa, nawet trzy razy mniej niż jego kolega np. w biurze projektów. Karta Nauczycielska zmieniła te układy, ale trzeba pamiętać, że pracownik naukowy rolnie wolno, to trwa całe lata i na efekty dzisiejszych działań trzeba będzie poczekać.

— Co uznałby Pan Profesor w swojej dziedzinie za najbardziej zaskakujące na Kongresie?



Fot. CAF (Archiwum)

— Trzeci dzień obrad, gdy odbywały się tzw. łączone obrady specjalistów różnych dziedzin. Rolnictwo znalazło się w „towarzystwie” teoretycznych nauk biologicznych i medycyny. Ale po wysłuchaniu tego, co tam powiedziano, rzecz okazała się wcale nie tak zaskakująca. Przecież te trzy działy nauk dotyczą organizmów żywych, człowiek podobnie jak zwierzęta, ptaki i inne stworzenia oraz rośliny korzysta z wody, powietrza i pokarmu. A wszystko to łączy się bezpośrednio z zagadnieniem, które dziś nazywamy ochroną środowiska. Jeżeli produkt, a dotyczy to także wody i powietrza, który człowiek spożywa, nie jest zatruty środkami chemicznymi, używanymi przeciw chorobom i szkodnikom — to i ten człowiek jest zdrowy. Pokarm zatruty, chociażby z pozoru ładny i nawet smaczny, działa ujemnie na nasz organizm. Nie więc dziwnego, że pomiędzy biologią a medycyną powstaje coraz silniejsza łączność.

Jeżeli człowiek chociaż tylko raz zaoral jakiś kawałek ziemi, to już naruszył naturalny układ biologiczny i mimo wszelkich zabiegów już go nie przywróci. Chemizacja

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 3

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

Zapole

Nr 2 (21)

29 VII 1973

Rok VII

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy—Ośrodek Lubelski przy ZW ZSMW

NOTUJEMY

Z udziałem Jana Zdzisława Brudnia, przewodniczącego Krajowej Rady KKMP, 2-ty rad. naczelny "Nowego Wyrazu", odbyło się w Dniu Dzielnicy Kultury (DVK) zebranie organizacyjne lubelskiego ośrodka KKMP. W trakcie zebrania, w którym uczestniczyli również kol. kol. Zbigniew Nogaj, wiceprzewodniczący ZW ZSMW w Lublinie i Józef Dzioba, sekretarz Komisji Kultury ZW, omówiono aktualne kierunki prac KKMP. Wiele uwagi poświęcono również udziałowi członków lubelskiego ośrodka w tegorocznych Dniach Ojswiaty, Książki i Prasy oraz w realizacji programów Gminnych Festiwali Kultury i Sztuki, organizowanych przez Związek.

W dniach 2-3 VI odbyło się w Uniwersytecie Ludowym ZSMW Ziemi Krakowskiej posiedzenie Komisji Kultury ZG ZSMW, poświęcone omówieniu różnorodnych form działalności ZSMW na rzecz upowszechniania i organizowania działalności kulturalnej na wsi oraz współuczestnictwie w kulturze młodzieży wiejskiej. Problemem tym wiele uwagi poświęcił w swym wystąpieniu wice-minister kultury i sztuki Józef Fajkowski. Uczestnicy posiedzenia, w tym także z zespołem pieśni i tańca "Słachy", który działa przy UI, odwieźli również szereg placówek kulturalnych w powiatach woj. krakowskiego, w których Związek był współorganizatorem imprez kulturalno-oświatowych w ramach "Dni Młodości".

W tegorocznych Dniach Ojswiaty, Książki i Prasy wyróżnili się z lubelskiego ośrodka KKMP kol. kol. Roch Sęczawa, Józef Malek, Marian Karwanicz, Jerzy Jedziniak, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Stanisław Łukowski, Stanisław Busza, Wacław Gutowski i Marek Zenni, biorąc udział w 40 spotkaniach, prelekcjach i odczytach w placówkach kultury na terenie województwa.

Jej

Członkowie lubelskiego ośrodka brali również udział w wielu imprezach na terenie Lublina. M. in. kol. kol. Krystyna Makuta-Trochimuk, Henryk Kozak, Stanisław Łukowski, Waldemar Michalski i Henryk Makarski czytali swoje wiersze w Muzeum Im. Józefa Czechowicza na spotkaniu z redaktorami "Nowego Wyrazu". Brak publikacji dyskusji po spotkaniu spowodowany był ponoc nieobecnością najgłośniejszego z lubelskich dyskutantów, który przebywał w tym czasie na jednej z "terenowych chatek" — jak sam określa swoje niezliczone spotkania autorskie, którymi dorabiał sobie do otrzymanej ostatnio renty.

Młoda aktorka Teatru im. J. Osterwy, Bożena Mrowińska-Górska, pięknie zaśpiewała wiersze naszych kolegów podczas Wieczoru Poezji Lubelskiej w MDK. W dobrym wykonaniu współczesna poezja staje się interesująca i zrozumiała, czego dowiedzieliśmy na spotkaniu młodzi poeci, wzrzeni własnymi tekstami.

Na kiermaszu książkowym w "Chacie Zaka" kol. Henryk Makarski podpisywał swój poetycki tomik pt. "W śmieci stwardniałe tonię". W roku przyszłym prawdopodobnie będą składać swe autorskie książki kol. kol. Henryk Kozak, Marian Kwiatkowski, Waldemar Michalski i Jerzy Chłodziński. Należy dodać, że prawie wszystkie przed debiutem w Wydawnictwie Lubelskim usilowali bez rezultatów wydać swoje wiersze w serii wityry literacko-plastycznych LSW. Miejszy nadzieje, że "góra" KKMP łaskawym okiem zechce spojrzeć na prace naszych członków, z których, jak dotychczas, tylko kol. Makuta-Trochimuk doczekała się wityry.

MaH

26 i 27 maja odbyło się w Grudziądzu ogólnopolskie seminarium na temat społeczno-kulturalnego sensu debiutu. Referaty wygłosił Krzysztof Nowicki z Bydgoszczy i Zygmunt Trzaska z Warszawy. Dyskusja wiodła wiele cennych dla młodych twórców uwag i wniosków. Lubelski ośrodek reprezentowali kol. kol. Romuald Falkiewicz, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow i Józef Osmała. Uczestnicy seminarium wysłuchali świetnego montażu własnych tekstów poetyckich w wykonaniu aktorów Teatru Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu.

FaR

Zapole Nr 2/21 redagowali:
Jerzy Jedziniak
Romuald Falkiewicz
Henryk Makarski

LEŻĘ bezwładnie na łóżku połowym. Noc. Godziny wpełzają przez okno mieszkania, ich węzłowe cielsko okręca się wokół mojej szyi, duszę się, jak w kalejdoskopie migają fragmenty życia: dziwne, tylko na pozór oczywiste, kiedyś byłem zupełnie małym chłopcem, z nosem wrośniętym w szybę mego okna na świat, z ufnością patrząc w słońce nie mrużyłem powiek, za oknem widziałem zielone drzewa, czarne ptaki i białych ludzi, wszystko ciepłe i kolorowe. Dopiero potem, za progiem domu, usłyszałem jęk padających pni i warkot pily, krakanie wron i przekleństwa. Miałem jednak wciąż pełne kieszenie radości, laziłem po drzewach, które łagodnie mruczyły jak zadowolony stary pies, gdy go podrapała za uszami. Pewnego razu ostrym nożem uderzyłem drzewo, odciąłem gałąź i tak się narodził mój pierwszy karabin. Zabawa w wojnę do późnej nocy. Dziś nie potrafię narysować żołnierzy, kryję twarz w ciężkich dłońach, nie potrafię

spojrzeć w słońce, które jak ogromna gorejąca cebula wyciska z oczu łzy. Leżę więc na łóżku połowym, noc tarza się po moim bezwładnym ciele, powtarza kolorowe obrazki, które w mojej głowie jak w starym

nimi na cud nieskończoności, a złudzenia są przecież podwójnie szkodliwe: obrzydzą młodość i zatrują starość. Miotały się w niepewności, czekając aż decyzja przyjdzie sama. W przedślonku

chwili napiętej na płomień, do ostatnich spojrzeń. W mrocznym pośpiechu dni ucieka krzyk godzin i znów spalone skrzydła nam odrastają, na dachy naszych solidności spada piór osmalonych deszcz i padamy znowu w pustynny piach, nogi toną w skamieniałej ziemi, a dłonie ścisną kurczowo brzytwę wiatru, wędgnąc powoli w wilgotnej czerwieni. Słowa moje we mnie nie rosną, zaludniam nimi obszary milczenia. Nie mówię „my”, bo odpowiadam tylko za siebie, za swoje myśli. Lowię spojrzenia zaślinionych staruch-ropuszek wypływających resztki psalmów na słoneczną gromnicę. Uciekam więc gdzie oczy poniosą, bo za moimi plecami toczy się ogniste koło pustyni. Leżę na łóżku połowym, które jest dnem pustynnego dołu o ścianach tak stromych, że tylko widać zimną kratę nieba, leżę więc i czekam. Z góry dudnią wasze słowa, wasze łyż krokodyla, kamienie toczą się na mnie lawiną straszniejszą coraz głośniejszą, coraz szybciej, coraz potężniej dudnią, toczą się, tarzają, powtarzają się w tarzaniu...

TRZECIE DNO

Henryk Makarski

rzutniku migoczą, aby przez dziury oczu rozwinąć się, rozłożyć na sutficie. Leżę więc i oto narastają chwile, które trudno wyrazić, są wyczuwalne, ale ciężkie do określenia, jak rozpalony kamień, wyrwany zębami z bruku wodzącego do tzw. marzeń. Dziwne to i smutne — opiewamy nieskończoność wszechświata, a nad głowami budujemy tylko dachy i czekamy pod

przedpiekła bywa się tylko raz i tylko wtedy można wybrać. Leżę więc na łóżku połowym pełen lęku, a noc do gardła mi się skrada, leżę więc, a przecież kiedyś wydośćnę się stąd, na chwilę wrócę, zechcę was zobaczyć, znowu godzinny radości owocujące płohem miesięcy, a kiedy będziemy się żegnać, znowu przypomnę sobie, że muszę wrastać powoli w ciemność, aż do

Wiesław Bohdan
Sosnowski

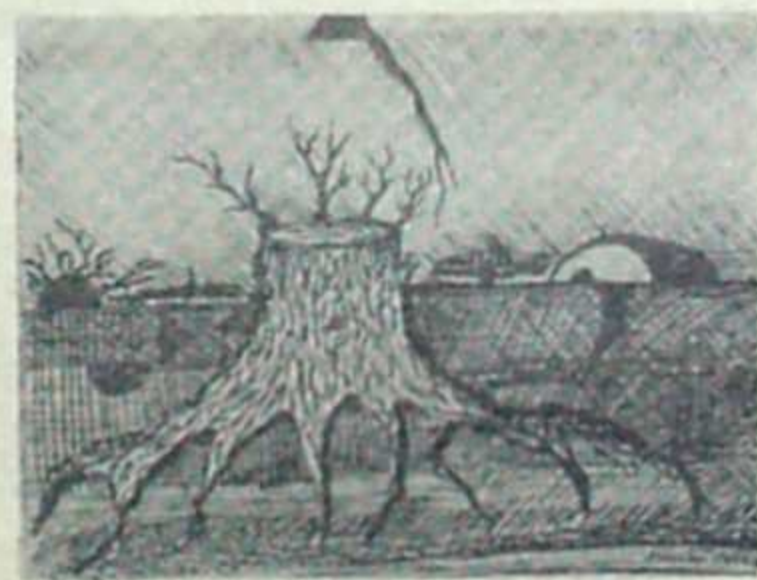
Portret płaczącej Anny

peknięta struna wydaje
urwany dźwięk
— niespełnione marzenie o nocy z maria
mystyczną i tajemną —
z lichtarzem niedosytu w dłoniach
żegnałem Annę
widziałem płaczącą —
z oczu nie przykrytych
dobrym snem
płynęły łzy nabrzmiałe
pamięcią o złym dniu
— nie potrafiłem zdmuchnąć
plamienia żalu
drzwi samotności
kluczami rdzy
zaparli iłi ludzie
— zachowuję odtąd
portret płaczącej Anny —

wielu mówiło credo
— a nie wierzyli
wielu mówiło kocham
— a miało tylko nienawidzić
więc po cóż mówić jestem
cogito ergo sum
— fatalna pomyłka
bo wielu istnieje nie myśląc
wielu mówi jestem
po co
jest przecież
przemijającą chwilą
euforii momentu

Romuald Falkiewicz
lublin

huczącą ulicą przechodzi
niewidomy wiatr
co z pół za rogatkami miasta
a tutaj na placu gdzie pełno ludzi
gdzie róża po trawnikach deptać
zaśmiewa się od rana do nocy
czerwony kosz na odpadki
i białe słowa gonią się jak dzieci
po koślawych uliczkach
zegałem się do szczytu
w pokora ze starym zegarem na wieży
w przypiływie wściekłości łbem tłułem
o bramę trynitarstką
aż się tynk osypował w wyżłobione koryta
i gdzieś nad ranem kiedy mleko
rozważono do sklepów
uprzytomniłem sobie że jestem
że wrosłem w ten wiatr co niewidomy
w ten zegar co gra namiętnie w karty
w ten tynk co laskocze naskok ulic
i w tę twarz owiniętą moimi dłońmi



D. Opolski

Henryk Kozak
Coś się kończy

Drógę którą żeśmy jechali
nagły deszcz
uczynił nie do przebycia
skryliśmy się w stogu słona
Maria mówiła
niech nigdy się nie kończy traw niebieska zlewa
niech będzie łagodność aż po niewidzialny strumień
po najgłębszy korzeń niech śpiew ptaków dociera
niech będzie światłość i niech nigdy
nie opuszcza nas nadzieja

Jeszcze prośba

Ten wiersz musi przyjść
oczekuję tego wiersza
niech będzie łagodny jak śródpołny wiatr
gwałtowny jak nocna burza
a słowa niech będą
ciche
cieple
lecz niech z żelaza będą słowa
Ten wiersz musi przyjść
już drugi rok modłę się o niego
lecz chyba nie tę odmawiam modlitwę
lecz chyba nie ta prowadzi mnie droga

Irena Butkiewicz

Ty mówisz...

Barwę wieczoru zamknęłam w twych oczach.
Ustom podałam słodycz pocałunku,
A dłonie wyszły w noc. Szukały ciebie.
Znalazły ciepło twoich uciech w muszlach piersi zamkniętej.
Mój sen pieścił twoje westchnienie.

Spotkanie z rodakiem

Adam Fiala

JESZCZE na lotnisku przyplątał się do mnie rodak, Jan Samicki, i gdy już siedzieliśmy w autobusie cały czas bacznie spoglądał na mój plecak. „Oj, sprytnie, kolego, sprytnie” i choć mnie nie poklepywał po plecach, to w tym mówieniu „oj, sprytnie, kolego, sprytnie”, czuło się przyjacielskie poklepywanie. „Wiesz, mój ziółko, co?” „Jakie ziółko?” Okazało się, później mi to powiedział, że brał mnie za większego cwaniaka, takiego, co to nie opon samochodowych używa do przewożenia narkotyków, ale rzeczy znacznie prymitywniejszej, niewinnej, harcerskiej, rzecz można, plecaka. „Zaden celnik nie zajrzy, a my sobie w papierkach po zupkach w proszku. Zupki do kłóstwa, bo i tak nic

nie warte”. I dobrze było, że cały czas Jan Samicki o mnie myślał, że jestem przemytnikiem narkotyków, bo miałem u niego respekt i wprowadzał mnie w arkana stolicy (jakby to tak naukowo można powiedzieć) Ciepłego Kraju. „Trzy sprawy — mówił — są ważne. Gołębie, wodopoje i kobiety. A ponadto trzeba wiedzieć, jak i co kupować. Bo wszystko im bliżej tych murów to droższe. Mam kryterium na każde miasto. Katedry i kłozety. Jedno do góry. Drugie do dołu. Jeżeli jedno w porządku i drugie w porządku, to i dane miasto w porządku”. Taki był rodak Jan Samicki, co z niejednego delegacyjnego plecaka chleb już jadł w niejednym kraju przydzielone dewizę oszczędzał, odejmując sobie od ust („Panie, odchudzam się w ten sposób. Jadę na południe, to przede wszystkim owoce, owoce, owoce. Słuszenia po tym dużo, i owszem, ale zdrowo”). Bez Samickiego to ja bym się czuł w tym Włocznym Mieście zupełnie jak jaki hipis; siedziałbym pod figurą i kontemplował kontestując i kontestował kontemplując. Ale z Samickim regularnie krążyłem i podziwiałem (podziwiałem nawet to, że Samicki zupełnie nie zna żadnych nazw, ani placów,

ani ulic, rzeźb, nawet gdy usłyszał o Michale Aniele, to się zdziwił kto to taki, i myślał, że go nabieram, że to legenda, bo to aniol; ale Samicki za to wszystko wyczuwał, choć nie nazywał po imieniu: „panie podręczniki to my w domu zostawili, tu trzeba wszystko wyczuwać”). A miał, trzeba przyznać, cholernego nosa, i lawirował jak mógł i mnie wielokrotnie uratował życie. Bo byliśmy pod ciągłym ostrzałem gołębi. Co chwila pac, pac, zielenowodnistą, piękna ma. („Panie, kulki tak świstały: wiu, wiu, a ja siedziałem i nie mówiłem, tylko od czasu do czasu: kic na bok, kic, jak ten zajac”). I już wiedziałem, jak spędzimy wieczór. I już przeczuwałem, że będą zaduszki i wspomnienia. I przy szklance czerwonego wina (dosłownie za grosze) Samicki się rozgadał, jak to zdobywał stodołę, i że w parzyste dni stodoła była w ich rękach, a w nieparzyste w naszych. I w ogóle będzie wieczór kawalerskich wspomnień. I w ogóle po co tu przyjeżdżać i praktycnie się w słońcu, kiedy można pójść u nas do pierzawej lepszej knajpy, z przewodnikiem po zabłykach, i co zerkniemy na Anioła, to tyk, i co zerkniemy na tę Bazylikę, to tyk...

Zbigniew Włodzimierz Frączek

Siedzieliśmy obok siebie w pustej poczekalni dworca kolei żelaznych czytaliśmy jedną gazetę i wymienialiśmy grzecznościowe uwagi o pogodzie. Poznałem go. Znałem go przecież z lektury listów gończych. Popelniał kilka gwałtów i jedno zabójstwo jak ja kilka wierszy i niedokończony poemat. Nie różniliśmy się wcale, nie czułem, że wymagal ode mnie znajomości faktów biograficznych ja od niego znajomości wierszy. Nasze gazetowe horoskopy strzelca i ryb przewidywały kłopoty. Nie wybiegaliśmy myślami zbyt daleko najbliższy pociąg odjeżdżał bowiem za dwie godziny. Może jedynie miał lepiej wyczyszczone buty i równo obcięte paznokcie.

Jerzy Jedziniak

K. A. Jasiorskiemu

Hej zagroził mi wiatr na listku
na zielonym
hej wiatr od tamtej strony
Zapachniały hale połoniny
słoneczne woty
aż w doliny
Czerwem czerwienieje buczyna
jarząb kwili w jarząbinach
jalowiec się jalowi
na nowiu

Hej idą burza letnie
ciągi bezbolesne
bicowania niebieskie
A tu nocą góra lodu
baba sapie od zachodu
w pułap kulę książęcy wali
takiej nocy nie ocali
żaden świt od zapomnienia
żadna wdziaba u strumienia

Gra na listku wiatr zielony
— juhas w dolach zagubiony

W sklepach z artykułami żywnościowymi nie ma dosłownie żadnych kolejek. Bez kolejki można też kupić mięso i wędliny, choć ta — smakowo — wydała mi się na ogół gorsza niż nasza. Za to zestaw konserw rybnych zadowolili-by każdego konsumenta. Nie ma się cze-

półmiski z wędliną, wśród niej doskonała wiejska kiełbasa, jest jeszcze jesiór w galarecie i salata z pomidorów, obłana śmietaną. To wszystko przystawki. Później będzie jeszcze soljanka — zupa stanowiąca kombinację różnych mięs i gotowanych kwaśzonych ogórków (w Polsce

rym będzie można spokojnie wyłowić i rybki polapać. „Albo dom, albo maszyna” — dodaje Lidia, Rosjan-ka z nad Morza Czarnego rodem, która Federiów pojął za żonę, gdy miał lat dziewiętnaście, przed wojną jeszcze. Z tego małżeństwa zrodził się syn, Zenia, studiujący obecnie dziennikarstwo, i córka Oksana, 15-letnia absolwentka ósmej (na razie) klasy.

Jak dziś żyją w tym mieście?

Marek Adam Jaworski

MINĘŁO dwa i pół roku od czasu, gdy gościliśmy w Lublinie Romana Federiowa, półtora — od wizyty Romana Lubkiwskiego. Teraz, przy końcu czerwca 1973 r., oni mogli zrewanżować się „Kamieniu”: stąd mój dziesięciodniowy pobyt we Lwowie.

Tutaj kilka słów wyjaśnienia. Nasze pismo utrzymuje serdeczny kontakt z lwowskim ukraińskim miesięcznikiem „Zowteń”. Wymieniamy materiały, informujemy się wzajemnie o co ciekawszych wydarzeniach z dziedziny kultury. W stałej rubryce „Za Bugiem” „Kamień” systematycznie podejmuje tematykę związaną z życiem naszych wschodnich sąsiadów. Uważamy jednak — zarówno my, jak i nasi ukraińscy przyjaciele — że dopiero osobiste kontakty pozwalają lepiej się poznać, zrozumieć. Dzisiaj, gdy wszystko nas łączy, ta forma zbliżenia warta jest jak najszerszej popularyzacji.

Roman Federiów, prozaik, autor wielu książek i publikacji, pełni funkcję redaktora naczelnego „Zowtnia”; Roman Lubkiwski, poeta, tłumacz literatury słowiańskiej — jego zastępcy. Obaj witają mnie na lwowskim dworcu. Są kwiaty, gorące uściski dłoni, pocałunki. I rozłożone na stole. Deszcze spadną za kilka dni. Nie ma nic z oficjalności, jeśli nie liczyć wyjścia z peronu przez specjalną, wysłaną dywanami salę, i „Wolgi” wypożyczonej na tę okazję z Komitetu Obwodowego Partii. Za tę „Wolga” mogą być szczególnie wdzięczny, gdyż schwytnie taksówki we Lwowie — o taryfie, jak w całym ZSRR, więcej niż niskiej — nie należy do rzeczy łatwych.

Moje miejsce postoju to hotel „Lwów”, budynek siedmiopiętrowy, zbudowany przed sześcioma laty. Znowu korzystam z praw zagranicznego gościa, nie stoję w długiej kolejce do okienka recepcjonistki, formalności meldunkowe są zalatowane błyskawicznie. Otrzymuję pokój na pierwszym piętrze, wychodzący na Aleję Lenina. Jeśli wychylenie się z okna, widzę po prawej stronie masywny gmach Lwowskiego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Iwana Franki. Później w „Przewodniku Turystycznym” (Wydawnictwo Agencji Prasowej Nowosti) przeczytam: „Lwowski Akademicki Teatr Opery i Baletu imienia Iwana Franki jest charakterystycznym zabytkiem architektury lwowskiej końca XIX stulecia. Zbudował go w latach 1897—1900 architekt Z. Gorgolewski.

Autor wzorował się na wiedeńskim pseudorenesansie, będącym eklektycznym połączeniem form francuskiego Odrodzenia i baroku. (...) Niewiele teatrów może się poszczycić tak chlubnymi tradycjami, jak obecna opera lwowska. Na jej scenie występowali z ukraińskich śpiewaków tak słynni jak: Salomea Kruszelniczka, Aleksander Miszuka i Modest Męciński. Wstawili oni ukraińską sztukę śpiewaczą w wielu krajach świata. Występowali tu również wybitni mistrzowie sceny polskiej: Marcelina Senbrych-Kochańska, Helena Ruszkowska-Zbońska, Aleksander Bandrowski, Janina Karolewicz-Waydowa. Scena ta widziała również śpiewaków tej miary, co Mattia Battistini, Enrico Caruso, Titta Ruffo i Fiodor Szalopin”.

Ten przedlgi cytut niech nikogo nie dziwi. Należy do pokolenia czterdziestolatków, którzy Lwów przedwojenny oglądali jedynie oczyma dziecka. Ale to dziecko miało już wówczas do miasta szczególny sentyment: tutaj urodziła się jego matka, która zresztą przez całe życie biegła władała językiem ukraińskim. Ja tego języka nie znam, ale tłumacza nie potrzebuję. Właśnie obaj Romanowie mówią, że na godzinę wyjdą, że wrócą z żonami i pojedziemy na Wysoki Zamek, nie tyle, aby tam razem podziwiać panoramę miasta, ale by coś skusumować. Ta propozycja cieszy ogromnie, bo od rana pusty żołądek gwałtownie dopomina się o swoje prawa.

Zostaję więc sam, jest okazja by na chwilę kilka wyskoczyć na ulicę i zobaczyć, jak ten Lwów wygląda po siedmiu latach, które upłynęły od mego ostatniego tu pobytu.

Na Alejach Lenina tłumy, dużo młodzieży letnio ubranej. Moda jest różna, w każdym razie nie widać mniszpódnicek, długich włosów, bród też nie za wiele. Widzę znacznie więcej niż przed siedmioma laty barwnych sukieniek, spodni typu „texas”, tu i ówdzie można spostrzec pantofle na wysokim obcasie.

— Lwów lubi się dobrze ubierać — usłyszę później.

W tych słowach nie ma przesady. Wybór materiałów jest bogatszy, chociaż ciągle jeszcze przeważają materiały w kolorach ciemniejszych. Nie brak białych koszul nylonowych (niektóre reklamowane są jako towary polskie) i pięknie wyszywanych koszul o ludowych wzorach ukraińskich. Te ostatnie dość drogie, ale nie dziwnego: ręczną robotą wszędzie się ceni.

mu dziwi, biorąc pod uwagę długość wybrzeża morskiego ZSRR.

Dla miłośników czegoś mocniejszego — prawdziwy raj koniakowy. Po podwyższeniu cen koniaków, a wyniosła ona nawet powyżej 100 procent, pół litra kosztuje minimum 8 rubli, co przy średnich zarobkach w wysokości 90 rubli miesięcznie, nie jest sumą bagatelną. Ale dobry fachowiec potrafi zarobić i 300 rubli, klientów więc nie brakuje. Czego jednak nie ma: wódek wytrawnych. Jest natomiast czysta wódka w cenie 3,5 rubla za pół litra. Koniak można nabyć w każdym sklepie spożywczym (noszą one nazwę „Gastronom”).

To już będzie truizm, ale świetnie są zaopatrzone sklepy z telewizorami, radiami i magnetofonami. W „Przewodniku Turystycznym” przeczytam: „70 procent telewizorów — to realny wkład Lwowa do produkcji przemysłowej Ukrainy ZSRR”. Lwowskie telewizory: „Elektron” i „Ogoniok” uważane są za jedne z najlepszych i najestetyczniejszych w ZSRR. Dodam, że cena nie jest wygórowana. Za ok. 250 rubli można mieć telewizor wysokiej klasy (oficjalny kurs: 1 rubel=15,3 zł).

Aparaty fotograficzne w dużej mierze idą obecnie na eksport.

W Lublinie np. można nabyć różne „Zorki”, „Kijewy” o wysokim standardzie, we Lwowie supermaloobrazkowe „Czajki”. Ostatni model „Czajka III” ze światłomierzem kosztuje 32 ruble.

Czas jednak płynie, muszę wracać do hotelu. Mija dziesięć minut i są już moi gospodarze. Federiów ze swą przemiłą Lidą i Lubkiwski ze swą młodą, sympatyczną Natalką, która — jak się wydaje — krótko trzyma swego męża. Natalka ma właśnie jutro otrzymać dyplom ukończenia wydziału chemicznego. A już chciała zrezygnować i w trakcie studiów przerzucić się na sławistykę. „Mogę teraz zaczynać od początku” — śmieje się.

Do restauracji na Wysokim Zamku dosłownie kilkadziesiąt kroków. Na werandzie nie wszystkie stoliki są zajęte, za to w dużej sali, gdzie gra orkiestra, tłok. Właśnie absolwenci wydziału dziennikarskiego mają swój pożełnalny bal.

Z jedzeniem zdaje się na gust gospodarzy. Zjawiają się dwa duże

foxtroty. Roman Lubkiwski na chwilę gdzieś znika i po chwili słyszę po rosyjsku „Do zakochania jeden krok”. Nasz Dąbrowski kłania mi się we Lwowie.

Orkiestra sobie gra, a my tu gwarzymy o tym i o owym. Ale melodie do uszu docierają. Przeważnie tanga,



Lwówianie Kochają kwiaty, ale prakupki na pl. Halickim nie lubią się fotografować.

Fot. MAJ

— gwarzymy o tym i o owym”. Czytelnik ciekawy, o czym? O Markijańczyku, dwuletnim synku Natalki i Romana, który jest bardzo niegrzeczny, ściągnął z łóżka poduszkę, zataśkał ją na balkon i dokuczliwie pobrudził, o tym, że Federiowie budują sobie dom nad jeziorem blisko Iwana Frankiwska i mają w związku z tym sporo wydatków i kłopotów. „Z redaktorskiej pensji (220 rubli miesięcznie) na pewno bym nie zbudował, ale piszę książki, a to jest u nas dobrze płatne” — mówi Federiów jakby się usprawiedliwiał. I już mnie zaprasza w przyszłości do tego domu, nad to jezioro, nad któ-

Lubkiwski, mówię po polsku, rubasznie dowcipkuje, za co następnego dnia będzie mnie przeproszał. Licho wie, za co.

Około pierwszej po północy wracam do hotelu. Odejmuje dwie godziny: w Lublinie dopiero jedenasta. W pokoju duszno, oczy do snu się nie kleją, neon za oknem trzaski. Dlaczego tak gorąco? Odkrywam tajemnicę: w lazience grzeje rury, przez które przepływa woda. Zamykam drzwi od korytarza, niewiele to pomaga, bo grzeje mnie też koniak moldawski. W końcu jednak usypiam. O ósmej rano budzi mnie dzwonek telefonu. Roman Lubkiwski pyta troskliwie, jak spędziłem noc i już umawia się na śniadanie. Trochę zżenowany przypominam sobie, że w czasie jego pobytu w Lublinie dawałem mu nieco więcej samodzielności. Trzeba się będzie w przyszłości poprawić.

Z DZIEJÓW ŻEGLUGI NA LUBELSZCZYZNIE

PIERWSZE lata eksploatacji statków parowych na dolnej Wiśle przekonały dyrekcję założonej w 1848 roku „Żegluga Parowej” Andrzeja Zamojskiego, że komunikacja pasażerska, mimo swej sezonowości i częstych przerw wywołanych niskim stanem wody, jest również, a nawet więcej opłacalna od przewozów towarowych. Zachęciło to kierownictwo spółki do uruchomienia żegluga pasażerskiej także na południe od Warszawy, na tak zwanej powszechnie górnej Wiśle, jakkolwiek niezgodnie z jej topograficzno-fizjograficznym podziałem. Zarządowi żegluga chodziło o ułatwienie komunikacji ze stolicą Królestwa mieszkańcom rozległych ziem, leżących nad Wisłą na południe od Warszawy, obejmujących także szeroki pas Lubelszczyzny nadwiślańskiej. Był to region zupełnie pozbawiony komunikacji wodnej z Warszawą.

Zapoczątkowano ją statkami parowymi tytułem próby w 1852 roku. Zapowiedź znajdujemy w notatce „Kuriera Warszawskiego” z 18 kwietnia: „Dawniej wspominaliśmy, iż w roku bieżącym żegluga parowa z Warszawy do Zawichostu będzie utworzona. Dziś możemy nie tylko tę wiadomość potwierdzić, ale już bliżej podając szczegóły, zawiadomić, że jednak ta od 15 maja r. b. będzie rozpoczęta, i jak na początek sposobem próby, regularnie co 5 dni prowadzona. Zanim stosowny rozkład ułożony będzie, nadmieniamy, iż każdy statek parowy pasażerski, który około południa będzie wyruszał z Warszawy, tegoż dnia zanočuje w Mniszewie, dnia następnego w Nowej Alexandrii*, a trzeciego dnia w Zawichostie, stąd rano dnia czwartego, wyruszywszy z powrotem, płynąc będzie do Warszawy, tak iżby dnia 6-go znowu w następną udać się podróz”.

Dla obsługi nowej linii przeznaczono dwa mniejsze statki typu towarowo-pasażerskiego — „Kraków”

o 7 znaleźć się w Kazimierzu, o 11 pod Solcem, w południe pod Józefowem, o 14 i pół pod Tarłowem, o 18 pod Annapolem i wreszcie o 20 stanąć w Zawichostie u ujścia Sanu.

Powrót z Zawichostu był ustalony na godzinę 11 w dniach: 18, 23 i 28 maja oraz 4, 9, 14 i 19 czerwca. Przyjazd do Warszawy na godz. 20. Oplatę za przejazd ustalono na 17 kopiejek od osoby za milę (ok. 8

km) w klasie pierwszej i 7 i pół kopiejki w klasie drugiej. Urządzono na tym odcinku Wisły sporo przystanków, daleko więcej niż na dolnym odcinku rzeki, chodziło bowiem o ożywienie gospodarstwa i społeczne miasteczek i osad nadwiślańskich, zupełnie pozbawionych komunikacji z Warszawą. Statki umożliwiały im zbyt produktów rolnych i wyrobów gospodarstwa domowego.

Zgodnie z zapowiedzią, 15 maja 1852 roku wyruszył z Warszawy pierwszy rejs pasażerski w górę Wisły parowóz „Sandomierz”, wioząc kilkadziesiąt podróżnych i kilka ton towaru. Podróż przebiegała pomyślniej niż oczekiwano, dzięki czemu do Puław statek dopłynął następnego dnia już o godzinie 15. Po-

dobnie i powrót do Warszawy nastąpił o dwie godziny wcześniej. Ta przyspieszona jazda wywołała niezadowolone podróźnych, wsiadających na pośrednich przystankach.

W listach do dyrekcji żegluga skarżono się: „W tym pierwszym miesiącu pasażerowie przybywali na stacje pośrednie na oznaczoną w rozkładzie godzinie, aby już statku nie zastać”, na co dyrekcja odpowiadała: „Obecnie, gdy po odbytych 5 podróży pasażerskich jazda już stanowczo uregulowana została, i gdy z praktyki prawie ze ścisłością godziny przybycia statku do stacji

tal dotrzymany. Zostały wykończone dopiero w 1855 roku. Były to parostatki „Piłca”, „Narw” i „Niemien”.

Ponadto zakupiono w Koblencku (Niemcy) niewielki stateczek o mocy maszyn 25 koni, który otrzymał nazwę „Kazimierz” i wzmocnił obsługę pasażerską na górnej Wiśle, umożliwiając przedłużenie kursów do Sandomierza. „Tym sposobem — informowała „Gazeta Warszawska” — od dawna upragnione życzenia obywateli i mieszkańców tamtejszych okolic zostały urzeczywistnione”.

Bolesław Kuźmiński

Komunikacja pasażerska

pośrednich oznaczyć się dały, śpieszniej donieść wszystkim osobom zainteresowanym, że w przyszłości na taki zawód narażone nie będą, albowiem w nowowydrukowanych ogłoszeniach jazdy, pod koniec lipca ubiegłego, godziny te oznaczono dokładniej”.

I ten nowy rozkład jazdy nie miał większego zastosowania. Już w połowie czerwca warunki nawigacyjne na górnej Wiśle pogorszyły się, statki musiały ograniczyć, a nawet czasowo przerywać komunikację, o czym dyrekcja żegluga starała się informować.

Próbne kursy pokazały, że nawet mniejsze statki pasażerskie nie nadawały się do regularnej komunikacji na górnej Wiśle przy małej wodzie. Postanowiono więc wybudować

trzy inne typy pasażersko-towarowego, przystosowane do żegluga na płytkich wodach. Według planu dwa z nich miały obsługiwać stałą linię pasażerską Warszawa — Zawichost i zamierzone jej przedłużenie do Sandomierza, a trzeci pomysłany był jako statek zapasowy, interwencyjny w razie awarii czy innych przeszkód. Budowa dwóch pierwszych rozpoczęła się w lecie 1853 roku, trzeciego o rok później. Maszyny parowe do nich, o mocy po 40 koni, zamówiono we Francji. Miały być wykończone na wiosnę następnego roku, ale termin nie zost-

Próbne kursy pokazały, że nawet mniejsze statki pasażerskie nie nadawały się do regularnej komunikacji na górnej Wiśle przy małej wodzie. Postanowiono więc wybudować

Próbne kursy pokazały, że nawet mniejsze statki pasażerskie nie nadawały się do regularnej komunikacji na górnej Wiśle przy małej wodzie. Postanowiono więc wybudować

Próbne kursy pokazały, że nawet mniejsze statki pasażerskie nie nadawały się do regularnej komunikacji na górnej Wiśle przy małej wodzie. Postanowiono więc wybudować

Filmowa „Czołówka” w Lublinie i gdzie indziej

Jerzy Dostatni

POCZĄTKI, jak wiele rzeczy w tych czasach, były przedziwne. 13 czerwca 1943 roku do wódca i Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki powołano w Sielcach również „komórkę fotograficzną”. W praktyce wszystko ograniczało się do kilku ludzi oraz jednego starego aparatu fotograficznego. Ale ponadto był zapał i przekonanie, że właśnie w tych czasach z niczego można zrobić coś i rzeczywiście. Dzięki staraniom Związku Patriotów Polskich uroczystą przysięgę żołnierzy 1 Dywizji — 13 lipca, w rocznicę Grunwaldu — utrwalały już dwie kamery filmowe, przesłane z moskiewskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, nie licząc (trzęsiej) już tylko wypożyczonej.

I w ten sposób powstał materiał do filmu o narodzinach pierwszej regularnej jednostki Ludowego Wojska Polskiego, uzupełnionego materiałami, uzyskanymi od Sojuzkroniki (reportaż z I Zjazdu delegatów ZPP, na którym uchwalono jego deklarację ideową, a także materiały z pierwszego okresu formowania dywizji). Prapremiera tego filmu pt. „Przysięgamy ziemi polskiej” odbyła się w pierwszych dniach września. Ponad 40 kopii rozesłano do większych ośrodków polonijnych w ZSRR, a także do Wielkiej Brytanii, USA i na Bliski Wschód. Był to pierwszy i — mimo różnych przekonań politycznych — z głębokim wzruszeniem przyjęty dokument o faktycznej obecności żołnierza polskiego na froncie wschodnim. Był to zarazem debiut Czołówki Filmowej Wojska Polskiego.

Dwie kamery wraz z całą dywizją wyruszyły z Sielca na front, a następnie pracowały nim ludzie zmieszani się z żołnierzami pierwszej linii, filmując fragmenty bitwy pod Lenino. Fragmenty, bo w bojowych warunkach dwie kamery nie były

w stanie pokazać całego bohaterstwa Kościuszkowców. Materiał filmowy z Lenino został zaprezentowany dopiero pod koniec roku w pierwszym numerze magazynu filmowego „Polska walcząca”, jako motto umieszczono hasło: „Idźcie do siebie ziemi, Matko nasza”. Niezwykle trudne warunki frontowe spowodowały, że na pokaz trzeba było czekać ponad dwa miesiące. Dzisiaj te fragmenty bitwy stanowią bezcenny dokument, często wykorzystywany w filmach historycznych, zarówno dokumentalnych jak i fabularnych.

Wkrótce potem, w styczniu 1944 roku, ukazał się drugi numer „Polski walczącej”, pokazujący odznaczenie polskich dowódców na Kremlu, defiladę 2 Dywizji Piechoty im. H. Dąbrowskiego, otwarcie domu dziecka polskiego w ZSRR oraz ćwiczenia fizylierów z 1 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa”, ostry ćwiczenia w strzelaniu artyleryjskim, oficera szkołę w Riazaniu. Fragmenty tych zdjęć były na zasadzie wymiany prezentowane w ramach Sojuzkroniki.

W lipcowej ofensywie przez Bug operatorzy naturalnie też uczestniczyli. Utrwalił więc na taśmie filmowej historyczny moment zajęcia Chełma, następnie ogłoszenia Manifestu PKWN, wyzwolenie Lublina, powitanie Wojska Polskiego przez ludność cywilną, wyjście z lasów oddziałów partyzanckich Armii Ludowej...

I tu właśnie, w Lublinie, powstało dzieło, które później obiegło ekrany wielu kin świata i przy różnych okazjach jest wyświetlane do dzisiaj — „Majdanek — cmentarzysko Europy”. Jest to film średniometrażowy długości 68 metrów, tekst Jerzego Bossaka, czyta Władysław Krasnowiecki. Oto w punktach jego treść: wojska polskie wkroczyły do Lublina — powitanie z ludnością — pomordowani na Zamku — drugi i napisy Majdanek — ocaleni więźniowie — tłące się popioły — stopy butów — różne pozostawione przez hitlerowców dokumenty — przed Międzynarodową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich, której przewodniczył pułkownik Kudriawcew, zeznają obersturmfuehrer SS Schoerner i rotenfuehrer SS Schollen — Majdanek z lotu ptaka — wydobywanie pomordowanych — krematorium — grupa katek opuszczająca obóz — o swoich przeżyciach w obozie opowiadają Francuz, Holender, Belg i Austriak — uroczysty pogrzeb pomordowanych. Premiera tego wstrząsającego filmu odbyła się 26 listopada w kinie „Apollo”.

W Lublinie „Czołówka” otrzymała do dyspozycji willę przy ul. Lubomelskiej, szafowaną poprzednio przez szefa SS i policji na dystrykt lubelski, Odilo Globocnika. Dzięki temu można było rozpocząć wydawanie Polskiej Kroniki Filmowej, której pierwszy numer ukazał się 1 grudnia. Pokazując kolejno m. in. przeprowadzanie reformy rolnej, posiedzenia Krajowej Rady Narodowej, przybycie Rządu Tymczasowego do Warszawy, bitwę o Kolobrzec czy zdobycie Berlina, PKF nie tylko rejestrowała najważniejsze wydarzenia w kraju, ale i spełniała wielką rolę propagandowo-polityczną.

Czołówka, która już nazywała się Wytwórnią Filmowa Wojska Polskiego, w grudniu 1945 roku przeniosła się do Łodzi, a jedna z ekip do Krakowa, stając się tam zalążkiem przyszłej uczelni filmowej — Warsztatu Filmowego Młodych. Już z Łodzi przysłano do Lublina ekipę, która nakręciła relację z procesu obrawców z Majdanek w filmie pt. „Swastyka i szubienica”.

Ostatnim dokumentem frontowym była „Zagłada Berlina”. W tym też czasie ukazał się pierwszy fabularny film

Czołówki (średniometrażowy) pt. „Łódź 1939—1945”, poświęcony pamięci robotników łódzkich, oraz montażowy film „Budujemy Warszawę” w wersjach obcojęzycznych, wyświetlany w USA, Francji, Belgii, Szwajcarii i na Węgrzech.

Czołówka rozkazem ministra Obrony Narodowej została w lipcu 1947 roku — mówiąc językiem wojskowym — rozformowana. Utworzono ją ponownie w 1958 roku, a w 1966 roku jako przedsiębiorstwo państwowe Wytwórnia Filmowa „Czołówka” została podporządkowana Ministerstwu Kultury i Sztuki. Na pytanie o jej całokształt dorobek odpowiada jej obecny dyrektor, płk. mgr Wacław Lang:

— W latach 1958—1972 zrealizowaliśmy 1191 filmów dokumentalnych, szkoleniowych, fabularnych i telewizyjnych o krótkim, średnim i długim metrażu. Zaczęliśmy, po reaktywowaniu, od 16 filmów rocznie, w tym roku dajemy 111. Około 60 proc. naszej produkcji to filmy dokumentalne i szkoleniowe dla Ministerstwa Obrony Narodowej, a połowa dokumentów w sumie daje szeroki panoramę dziejów naszych walk o narodowe i społeczne wyzwolenie, walk żołnierza polskiego na wszystkich frontach drugiej wojny światowej, okresu umacniania władzy ludowej i odbudowy kraju. Są to zarówno filmy zdjęciowe jak i montażowe, korzystaliśmy przy tym z materiałów archiwalnych obcych kinematografii, a przede wszystkim radzieckiej. Chyba warto tu przypomnieć kilka najgłośniejszych tego rodzaju filmów, np. „Spojrzenie na wrzesień” M. Sienkiewicza, „Tagebuch — dziennik dr. Hansa Franka” D. Kępczyńskiej, „Skok na Arnhem” W. Ronisza, „Warszawskie skrzydła” Z. Kozłarskiego czy „Wspomnienie o bitwie” — film poświęcony bitwie pod Lenino, oparty na wspomnieniach gen. Zygmunta Berlinga.

— Ale zgodnie z tradycją i potrzebami „Czołówka” realizuje także filmy współczesne o wojsku? — Naturalnie. Przede wszystkim to dokumenty z życia żołnierskiego w koszarach i na poligonie oraz filmy czysto szkoleniowe. Każde większe ćwiczenia, każda większa akcja na rzecz gospodarki narodowej jest utrwalona na taśmie i obszerne fragmenty są albo wyświetlane w kinach powszechnych,

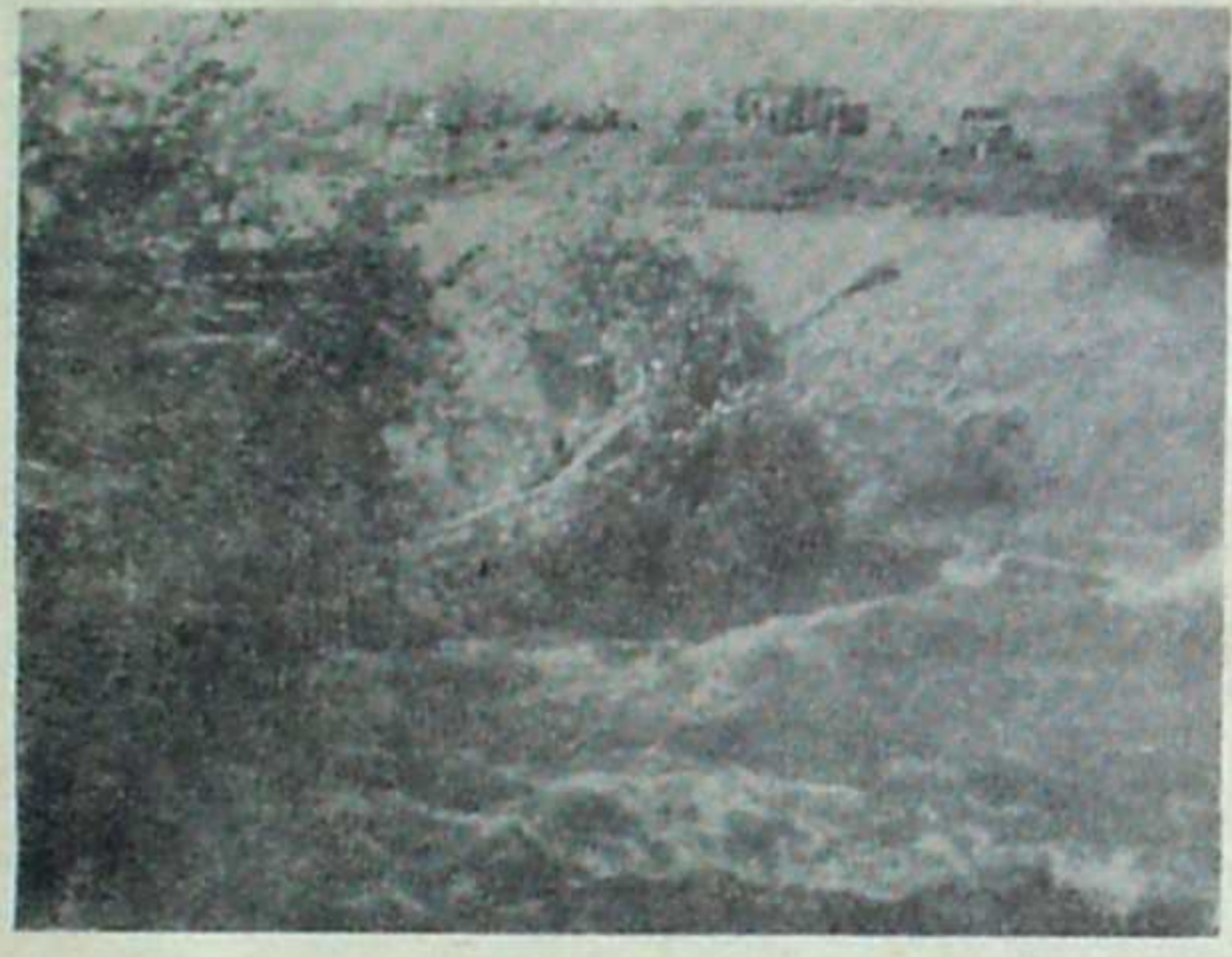
bądź wmontowywane do poszczególnych filmów. Można przytoczyć także tytuły jak „Po prostu żołnierze” J. Chodnickiewicza, „Z jasnego nieba” J. Wolena, „Przez Wisłę” J. Chodnickiewicza czy „Akcja mosty” K. Sheybala o budowie wiaduktów na Trasie Łazienkowskiej. Do tego prozę jeszcze dodać 150 wydań Wojskowego Magazynu Filmowego „Radar”. W sumie chyba pełen obraz życia naszego wojska.

— „Czołówka” obchodzi właśnie 15-lecie swego istnienia w obecnym kształcie oraz 30-lecie tradycji frontowej, które było jednocześnie początkiem odrodzonej kinematografii polskiej. 12 i 13 października, w rocznicę bitwy pod Lenino, będzie on obchodził 30 rocznicę Ludowego Wojska Polskiego. Co z tej okazji przygotowuje „Czołówka”?

— Przede wszystkim pełnometrażowy film dokumentalny „Wyzwolenie Polski 1944—1945”, będący szczegółową relacją i podsumowaniem wysiłku zbrojnego Armii Radzieckiej i LWP przy wyzwoleniu ziem polskich od Bugu do Odry. „Drogi do ojczyzny”, oparte o nieznane dotąd materiały archiwalne, pochodzące nawet ze źródeł prywatnych, to obraz walk żołnierzy polskich na wszystkich frontach świata w czasie ostatniej wojny, obraz zarówno wielkich bitew jak i losów pojedynczych ludzi. Kolorowa monografia „Lenino” obejmuje także nieznane dotąd materiały archiwalne, uzupełnione relacjami dowódców polskich i radzieckich. Również dokumentem będą „Bataliony Chłopskie”, pokazujące te jednostki partyzanckie w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. A już ukazały się na ekranach dwa filmy: „Próba rozpoznania” o oddziale „Małego Franka” — Franciszka Zubrzyckiego, oraz „Skarbica oręża” — o dziejach polskiego oręża na tle zbiorów w Muzeum Wojska Polskiego.

Tyle dyrektor „Czołówki”. Aby obraz ten uzupełnić, w małym domku na dworku przedmieściu Warszawy odnajduję jednego z operatorów frontowej „Czołówki” reżysera Jerzego Bossaka. Mimo wciąż rozlicznych zajęć oraz trwającego jeszcze leczenia po ciężkim wypadku, chętnie wspomina dawne czasy.

— Wskutek malarii, która przykuła mnie do łóżka w Azji środkowej, do „Czołówki” dotarłem dopiero pod koniec roku 1943 i potem już przez Ukrainę i Bug wraz z oddziałami frontowymi dotarłem do Chełma, a 24 lipca do Lublina. Co najbardziej pamiętam z tych czasów? Otrzymałem wzruszenie, które towarzyszyło zresztą każdemu, kto po latach wracał do ojczyzny. Drugie — że poznałem Lublin od strony Majdanek. Nie miałem złudzeń co do zbrodniczości ustroju hitlerowskiego, wiedziałem, że w ramach — jeżeli tak można powiedzieć — normalnej działalności wymordował on miliony ludzi. Ale przynajmniej, i sądzę, że w relacjach o tym jest jednak trochę przesady. I oto znalazłem się w samym sercu fabryki śmierci. Wstrząs był olbrzymi, dostaliśmy wcześniej niż to wynikało z cyklu malarii napadu gorączki. Gdy ocknąłem się, zobaczyłem nad sobą



nie publikowane dotychczas i niezlokalizowane zdjęcie, wykonane w lipcu 1944 r. gdzieś na Lubelszczyźnie. Fot. Czołówka (Archiwum)

Dokończenie ze str. 1

cania i doskonalenia zawodowego nauczycieli”. Poważeczony spisa nauczycieli w poszczególnych okręgach szkolnych został przeprowadzony w okresie: 1—15 maja br., a przynajmniej miał być w tym terminie dokonany. Dane te muszą jeszcze zostać skontrolowane i uporządkowane przez maszyny cyfrowe, a następnie dopiero przesłane do zainteresowanych resortów. W każdym razie centralny rejestr kadr nauczycielskich jest w stadium organizacji, a wiedza odpowiednich resortów o sytuacji kadrowej na tym odcinku — jeszcze niepełna. Toteż porozumienia krakowskiego nie można uznać jako programu dokształcania i kształcenia nauczycieli. Tym bardziej, że w dokumencie tego porozumienia powiada się: „Istnieje potrzeba rozwinięcia badań nad modelem zawodowym nauczyciela. Badania te powinny być podjęte w placówkach naukowo-badawczych szkolnictwa wyższego oraz w Instytucie Kształcenia Nauczycieli. Efekty tych badań (...) winny być uwzględnione w planach i programach studiów opracowywanych przez szkoły wyższe i zatwierdzanych przez resort szkolnictwa”.

Zatem wprawdzie pełna centralna ewidencja kadr nauczycielskich, równoległe badania nad modelem zawodowym i wypracowanie modelu osobowości nauczyciela, a następnie szczegółowy program zaoicznego dokształcania czynnych nauczycieli w uczelniach akademickich jako poważny element szerokiego planu kształcenia nauczycieli w ogóle, planu, który dawałby odpowiedź na pytanie, kogo i w jakiej kolejności dokształcać, jak kształcić i dokształcać? No i może jeszcze, kto ma kształcić i dokształcać? Prace nad tymi kwestiami trwają, niektóre są na ukończeniu, niektóre zaś potrwają mogą jeszcze sporo czasu. Dlatego decyzje rozporządzenia w tym roku (od 10 lipca) zaoicznego dokształcania nauczycieli na wyższych uczelniach w Polsce, decyzje

przyjętą porozumieniem krakowskim, aczkolwiek nie jestem pewien, czy uwzględniana przez inne resorty (np. resort rolnictwa, któremu podlega WSR), te więc decyzje trzeba chyba uznać jako tryumf optymizmu nad doświadczeniem, co w historii dawno rozmaite efekty: raz pozytywne, raz negatywne.

Sytuacja, jaka się wytworzyła w tym zakresie, znana mi jest z terenu Lubelszczyzny. Dalej więc będę się posługiwał przykładami stąd właśnie zaczerpniętymi. Ponieważ w rozmaitych źródłach uzyskałem rozmaite dane na ten sam temat, a oprzeć na czymś się trzeba, więc oparłem się wyłącznie na sprawozdaniu Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych w Lublinie. W placówkach podległych Kuratorium Lubelskiego Okręgu Szkolnego pracuje 15 600 czynnych nauczycieli nie posiadających wyższego wykształcenia (w tym 14 500 mających ustawowy obowiązek podjęcia studiów, zgodnie z kryterium wieku: dla kobiety do lat 35, dla mężczyzny do lat 40). Tego roku podejmie zaoiczne studia na uczelniach w całej Polsce 1208 nauczycieli z Lubelszczyzny (w tym 259 studia na uczelniach wychowania fizycznego) z placówek podległych Kuratorium. Ze szkół podstawowych pójdą na studia 973 osoby (w tym ze wsi 794).

Już z tego zestawienia widać, jakie tutaj są potrzeby, a jakie — na razie — możliwości. Ale przede wszystkim widać, że podjęty kierunek kształcenia, jeśli idzie o dobór kandydatów, faworyzuje najbardziej zaradczany dotąd rejon — szkolnictwo podstawowe na wsi. I trudno owa tendencja poddawać na te zaoiczne studia nauczyciele dostają się i będą dostawać bez egzaminów wstępnych, wyłonieni przez powiatowe komisje rekrutacyjne, a zakwalifikowani przez wojewódzką komisję rekrutacyjną z możliwości odwołania się do kuratorium danego okręgu szkolnego. W tym roku kandydaci z Lubelszczyzny poszli na studia bez kursu przygotowawczego (poza bodajże kandydatami na matematykę) i trzeba bać się, żeby się ta sytuacja nie powtórzyła w latach przyszłych, bo skoro nie ma egzaminów wstępnych, to kursy przygotowawcze muszą być etapem wstępnej selekcji kandydatów i zara-

zem możliwości pewnego wyrównania poziomu wstępujących na studia.

Nie twierdzę, że tego roku rekrutacja w powiatach odbywała się na zasadzie: kuzynka szefa, żona inspektora i gospodyni księdza, limit wyczerpany. Lecz twierdzę, że my chyba jeszcze sobie do końca nie zdajemy sprawy, kogo dokształcać. Tych najsłabszych, co najmniej potrafili? Czy tych zdolniejszych, lecz nie legitymujących się formalnym wykształceniem? Kogo warto dokształcać? Trzeba przyjąć, że istniała kiedyś, obecnie zahamowana, negatywna selekcja do zawodu i że w szkołach pracują dotąd ludzie, którzy do zawodu nauczycielskiego po prostu się nie nadają i żadne studia im nie pomogą, gdyby nawet je ukończyli. Co zrobić z tymi ludźmi? Nie idźcie mi tutaj o jakieś sporadyczne przypadki podwójnej moralności światopoglądowej, lecz o osoby nie posiadające choćby predyspozycji psycho-fizycznych do zawodu, a starające się w nim pozostać ze względu na nową sytuację finansową nauczycielstwa i usiłujące podjąć studia zaoiczne.

Ponieważ resort zapowiada twarde trzymanie się wysokiego poziomu dokształcania i nauczyciele nie mogą liczyć, że przepchną się w tłuoku, choć tłuok będzie, więc powstaje problem ludzi przypadkowych, którzy przeciętnie się przez dosyć rzadkie oczka sieci rekrutacyjnej, ale następnie studiów nie ukończą. Po raz drugi zaoiczne i bez egzaminów wstępnych studiować im nie będzie wolno, i słusznie. Perspektywy studiów zaoicznych z egzaminami wstępnymi — jak dotąd — nie widać dla nich. W każdym razie tego roku na uczelniach lubelskich cały limit miejsc dla czynnych nauczycieli został zarezerwowany na studia zaoiczne bez egzaminów wstępnych dla kandydatów kierowanych przez władze oświatowe. Więc ci telegowani ze studiów nauczyciele jak będą się czuli w swoich szkołach, jakie tu powstaną kompleksy i jakie dla tych ludzi

perspektywy awansu, utrzymania się w zawodzie? Żeby temu zapobiec, myśl moja kieruje się ku jakiejś formie kolokwium wstępnego, które by wieńczyło kursy przygotowawcze. Znak zapytania.

Spśród nauczycieli z Lubelszczyzny najwięcej osób zostało skierowanych na polonistykę (144), matematykę (107), rusycystykę (94), i fizykę (85), oczywiście — poza

rada w praktyce jakoś bardzo trudna do zrealizowania, a studia te nadal ekskluzywne i dla „dyplomatów”.

Przynajmniej Lubelszczyźnie — według rozdziałnika resortowego — limit miejsc dla nauczycieli na studiach zaoicznych nie został w stu procentach wykorzystany nie tylko dlatego, że na egzaminie zabrakło kandydatów, ale na przykład Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie nie przyjęła z Lubelszczyzny 13 osób skierowanych na polo-

RAZ A DOBRZE

studiami na uczelniach wychowania fizycznego. Najmniej na germanistykę (10), anglistykę (5), romanistykę (zero). I z tego już widać, jaka kwestia nie może zostać rozwiązana przez studia zaoiczne. Kwestia nauczania języków obcych, szczególnie zachodnio-europejskich, w szkołach. Problem od lat przedstawiający się niemal tragicznie. Przydzielony Lubelszczyźnie przez ministerstwa limit miejsc nauczycielskich na germanistykę nie został nawet w pełni wykorzystany — zabrakło trzech kandydatów! Neofilologowie zresztą pokpiwają, jak można nauczyć się trudnego języka... zaoicznie. Jedyna rada — rozbudować system kształcenia stacjonarnego na neofilologii i czekać cierpliwie na kadry. Tyle że — jak doświadczenie pokazuje — jest to

nistykę oraz że na pedagogikę opiekunką, tłumacząc to brakiem możliwości zakwaterowania i wyżywienia dojeżdżających studentów. Rekrutacja była obliczona na maksymalne możliwości uczelni i miejscowych władz oświatowych. I byłoby w tym przypadku optymizm znacznie przesadzony — jak empiryczne. Bądź co bądź, nasuwa się tu kwestia znaczenia szersza — jak to kwestia nauczania języków obcych przygotowano są uczelnie do przyjęcia szumowanego napływu zaoicznych studentów, których liczba z roku na rok będzie przecieć rosła (teraz mamy tylko co pierwsze lata studiów, w przyszłym roku będą pierwsze i drugie, i tak dalej). Jakże tu są możliwości kadrowe i lokalowe, żeby się te studia nie przemieniły w szkółki niedzielne, a ich uwieńczenie — w charytatywny rozdanie darmowych dyplomów magistrów?

Jeśli idzie o sesję letnią dla studentów zaoicznych (10—30 lipca), kłopot mniejszy, podobnie, choć już nie tak całkiem, z sesją podczas ferii zimowych, gdyż są to dla stu-

pochyloną twarz esesowca, który troskliwie podawał mi wodę. To był esesowiec obozowy, którego używano do pomocy, rzekomo troskliwie, usiłował mnie i żołnierzy polskich przekonać, że nie ma nic wspólnego ze zbrodniami w obozie. No cóż — był sądzony w głośnym procesie i spotkał go los, na jaki zasłużył.

Byłem później przy zdobywaniu prawobrzeżnej Warszawy, ale moim miejscem pracy był Lublin. W piwnicy b. willi Globocnika urządziliśmy małe, prymitywne laboratorium. Tam nagrywaliśmy filmy, a spikerem był głośny przed wojną aktor Jerzy Pichelski.

Nie dziwnego, że powstał tu film „Majdanek — cmentarzysko Europy”. Ponieważ nasze możliwości były bardzo skromne, radzieckim samolotem wojskowym wyleciałem z taśmą do Moskwy, aby go udźwiękowić. Mówił Krasnowiecki, ale chodziło głównie o muzykę. W Moskwie uczyłem chór ówczesnego Ministerstwa Kinematografii naszej Roty. Kiedyś spiewałem opowiadanie o Roty, byli bardzo przejęci, przecież każdy z nich też stracił kogoś bliskiego na wojnie. Uczyli się z zapalem, ale przecież w śpiewie słychać wyraźnie akcent rosyjski. Gdy to potem słuchałem w USA, Francji czy Belgii, zawsze byłem ogromnie poruszony.

— Kręcił pan wraz z kolegami Polską Kronikę Filmową. Ile wtedy czasu upływało od chwili zrobienia zdjęć do pokazania ich na ekranie?

— Zaczęło się od końca. Gdy dziś ogląda pan PKF w telewizji, zapewne irytuje się pan na to, że pokazuje ona wydarzenia sprzed tygodnia. Bo PKF w dawnej formie już przetrwała się i trzeba znaleźć jej nową formułę, albo z niej zrezygnować. Wtedy były inne warunki. Zdjęcia lubelskie mogłyśmy pokazywać już po tygodniu, ale te, które nadsyłano z frontu różnymi okazjami, nie raz po trzech czy czterech tygodniach. Ówczesna PKF była z jednej strony przeznaczona dla wywołanych stopniowo terenów i dokumenty o działaniu naszych władz, wojska, o rodzajem się niepodległym życiu kraju były dla wszystkich najbardziej aktualne. Tak samo zresztą dla oddziałów wojskowych, które posiadały kina polowe; tam zdjęcia z życia na zapleczu też były zawsze najbardziej aktualne.

— Może trochę wspomnień o życiu codziennym, mieszkaniu, jedzeniu itp. Dziś np. wszyscy mówią, że jadał w stołówce PKWN.

— Ja byłem tam tylko raz. Byliśmy jednostką wojskową i dzięki temu potrzeby życiowe mieliśmy zaspokojone tak, jak inne jednostki. W willi mieszkaliśmy kilka dni, urządziliśmy tam laboratorium, montażownię, „sala” udźwiękowienia mieściła się w lazience. Potem mieszkaliśmy w kwatery prywatnych, ja przy ul. Cichej, otrzymaliśmy przydział żywności, gotując sobie we własnym zakresie. Operatorów było sześciu, ponadto reżyser, kierownik artystyczny i dwóch kierowców — to cała „Czołówka”. Jeden samochód „Dodge” był przerobiony na wóz zdjęciowy,



W Chełmie 22 lipca 1944 r.

Fot. Czołówka (Archiwum)

mający dodatkowo dwa łóżka, drugi to normalny „łazik”. Ponieważ ja dołączyłem do jednostki dość późno, byłem jedynym szeregowcem w tej grupie oficerów, pełniąc jednak obowiązki zastępcy kierownika artystycznego. Wtedy też zaczęła u nas pracować Lublinianka Irena Lichnowska, która później została moją żoną. Mogę też powiedzieć, że kto wie, w jakim stopniu skończyłbym wojnę, gdyby ona trwała dłużej, albowiem w chwili jej zakończenia byłbym już majorem.

Osobiście filmowałem na placu Litewskim pierwszą defiladę Wojska Polskiego, no i wiele innych wydarzeń. Ale chciałbym opowiedzieć jeszcze jedno wydarzenie. W roku 1947 w siedzibie ONZ w Nowym Jorku szef wydziału filmowego pokazywał mi filmy amerykańskie, nakręcone w różnych obozach. Nagle widzę, że pewne fragmenty pochodzą z naszego „Majdanek”, że na ekranie właśnie moje ręce pokazywały niemieckie Kennkarty dla Polaków oraz paszporty cudzoziemców, zamordowanych właśnie tu. Mój gospodarz powiada zaś, że to były zdjęcia, zrobione przez Amerykanów w Sachsenhausen. Usiłowałem sprostować, że to nasze zdjęcia z Majdanek, ale dopiero gdy pokazałem swoje charakterystyczne dłonie — Amerykanin uwierzył. Nie jestem przekonany, że mimo to zmieniono metryczkę filmu i być może krąży on gdzieś po świecie w dawnej wersji.

W dzisiejszej Wytwórni Filmowej „Czołówka” przeglądałem kartotekę filmów archiwalnych. Co za bogactwo, nie w pełni jeszcze wykorzystane. Oto np. 644-metrowy film z roku 1944, dzieło filmowców radzieckich E. Muchina, M. Posielskiego, B. Solowiewa, B. Tomberga i B. Sztatlada. Akt pierwszy obejmuje forsowanie Bugu z udziałem artylerii, czołgów i lotnictwa przez Armię Ra-

dziecką i Wojsko Polskie, wkroczenie tych oddziałów do Chełma, wiatujące tłumy na ich cześć oraz wypuszczenie więźniów z więzienia chełmskiego. Akt drugi pokazuje posiedzenie PKWN, dalsze walki nad Wisłą, dołączenie partyzantów do wojska. Akt trzeci to Zamek lubelski z pomordowanymi więźniami, manifestacja żałobna ku czci pomordowanych, przemówienia generałów Berlinga i Zawadzkiego, wreszcie wojska radzieckie na zachód od Lublina.

Oto także radziecki 554-metrowy film dokumentalny pt. „Partyzanci polscy” — migawki z konspiracyjnego jeszcze posiedzenia KRN, życie partyzantów polskich i radzieckich przy ognisku w lesie, samoloty radzieckie w powietrzu, lecące z pomocą partyzantom, wreszcie pułk myśliwski „Warszawa”. Oto krótki metraż (163 m) pt. „Polscy patrioci” — reportaż z wiewu robotniczego w Stalowej Woli oraz budowy promów dla wojska w Sandomierzu. Oto 841-metrowy film „Na wyzwolonej ziemi polskiej” operatorów radzieckich, poza znanymi już fragmentami pokazujący jeszcze walki na ulicach Lublina, dalsze walki nad Bugiem, wkroczenie wojsk polskich i radzieckich do Lublina...

Myślę, że władze wojewódzkie i miejskie Lublina wraz z naszym oddziałem CWF powinny postarać się o to, aby te i inne jeszcze dokumenty zostały w przyszłym roku, na XXX-lecie PRL, zaprezentowane u nas na specjalnych pokazach. Przy okazji warto pokusić się o to, aby z udziałem historyków i kombatanów zidentyfikować chociaż w części miejsca pokazywanych akcji, ludzi w mundurach i w cywilu, pokazujących się na ekranie. Bo np. nie wiadomo, gdzie były kręcone zdjęcia z partyzantami w lesie. Czas mija i ludzie, którzy takiej identyfikacji mogliby dokonać, jest coraz mniej.

Samokształcenie, to powinno się wprawdzie zapewnić odpowiednią literaturę. Tymczasem, jak wiadomo, brak nowoczesnych podręczników uniwersyteckich, a te, które istnieją, wydane są w tak niskich nakładach, że praktycznie nie trafiają do terenowych bibliotek...

— Więc na razie trudno mówić o kształtowaniu się optymalnego modelu w interesującej nas dziedzinie?

— Dopiero zaczynamy i jest czas na zmiany. Widzę że studia zaoczne jako ogromny uniwersytet, w którym poszczególne uczelnie spełniałyby tylko rolę punktów konsultacyjnych, zaś zasadnicze kształcenie spoczywałoby na środkach masowego przekazu: radiu i telewizji, skoro kwestii nowych podręczników uniwersyteckich nie da się rozwiązać z dnia na dzień. Porozumienie krakowskie gwarantuje szeroką współpracę radia i telewizji w dziedzinie kształcenia nauczycieli. Tymczasem okazało się, że żadnego centralnego programu radiowo-telewizyjnego w tym zakresie nie ma i opracowując tegoroczne programy studiów, uczelnie są zdane same na siebie i dotychczasową literaturę.

— Plany studiów opracowało wam Ministerstwo...

— Plany, tak. Czyli wykaz przedmiotów i siatkę godzin na poszczególne lata studiów. Uczelnie teraz musiały dopracować się programów, wypełnić plan Ministerstwa treściami przedmiotowymi, każda na własną rękę, i to w okresie najwyżej miesiąca. Resort dopiero zbierze te programy i w ciągu najbliższego roku zostaną one ujednolicone, na razie każda uczelnia będzie w pewnym sensie pracować po swojemu, co też nie jest najlepszym początkiem.

— Nie mówiliśmy jeszcze o kadryze uniwersyteckiej, jej kwalifikacjach, a przede wszystkim liczebności.

— Cały czas odpowiadam panu jako przedstawiciel konkretnej uczelni i określonego Instytutu, Sam

Tadeusz Piekło

Łza

Kiedy się z tobą obojętnym odłąd
Łza będzie żegnać, naga do oschłości,
Ty jej opowiesz uchylone okno,
Zwierzyły sztandar spławiając miłość.

Powiedz — choć świeci jak javor jesieni,
W pół obrócenia rozjarzony nagie,
Ze dziś już w tobie zmierzach staje śród cieni,
Rozpięty w wietrze, jak zamokłe żagle.

Śnij słowo nigdy, śnij je nocą gwiazdną,
Gdy kwitną białe klawisze organów.
Śnij słowa nicość, aż tak rozabrano,
Ze milknie cisza i wszystko jest jedno.

Pożegnaj tę łzę, W zmarszczkach mgieł bezsennych,
Co pozostaje za krawędzią czasu?
Jalowe ziarno słów.

W mroku okiennym
Pole poziewa po odejściu lasu.

Z ławki II

Siedemdziesiąta pierwsza zieleń
w czerwonym wietrze lśni i plonie.
Zmierzch coraz szerzej się rozściela,
niska, gdzie blonie w wodzie tonie.

Jakże inaczej tu przychodzi,
gorzką sól kłęski nosząc w ustach.
Wola mnie, wrywa mnie pod drodze
zmarłymi poraniona pustka.

Znów las się wgrzyza w czerstwe słońce,
miasteczko się wesole kręci.
Czy słowik tamten śpiew swój kończy
którego kryształ mam w pamięci?

Sznur Sanu srebrno-olawiany
węższy się zda i pokrętniejszy.

Wspinam się, wspinam nieustannie
po żywych trupach moich wierszy.

Z ławki III

Znów chłopcy w Sanie konie plawią,
Pordzewiał na kapliczce krzyż.
Tak, jestem coraz bliżej trawy,
Po stopniach dachów schodzę wniżej,
W przemglone, wieczorne powietrze.
Ptaki mi mówią swoje ostre wiersze.

Z czego się dzisiaj tutaj spowiam
Wzgórzom, zieleni, niskiej rzece?
Z ucisku serca, z drgnienia powiek?
Czy wolno coś powiedzieć więcej —
Wiklina zaklina nurt Sanu.
Był, żył, przeminął chłopiec niekochany.

Kominy dymią na pogodę,
Umiera za wzgórzami wieś.
Ta rozbuchana zieleń młoda
Nie wie jak w zimnie zbiera pleśń.
Gołębie spadają wprost z nieba,
Aby zmierzch mlejski w dolinie pogrzebać.

I nic mi siły już nie doda,
Niech zieleń pyszni się najpiękniej.
Tu zarażliwa czasu woda
W końcu rozmyje mnie doszczętnie.

dentów stacjonarnych dni wolne od zajęć, przeto opróżniają się domy akademickie i stołówki dla przycięcia nauczycieli studiujących. Znaczenie gorzej z pięcioma trzydniowymi zjazdami studentów zaocznych w ciągu roku, nawet gdyby nie wszystkie kierunki zaoczne zjeżdżały do miasta akademickiego równocześnie.

Uniwersytet im. Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie przyjął od 10 lipca na studia zaoczne 507 nauczycieli z Lubelszczyzny, choć spoza samego Lublina, oraz 310 osób spoza województwa, czyli w sumie 818 osób nie mieszkających w tym mieście. Gdy mowa o zjazdach śródrocznych, to może hotel ZNP i bursa nauczycielska w Lublinie jeszcze w tym roku wytrzymają. Ale w latach przyszłych? Tłok będzie nie tylko w miejscach zakwaterowania i stołówkach, lecz również w salach wykładowych, bibliotekach i salach ćwiczeń. Jeżeli rozpoczęliśmy masowe kształcenie nauczycieli, to warto by również pomyśleć, znacznie wcześniej, o przygotowaniu szerszej kadry pomocniczej pracowników naukowych, a o tym jakoby nie było słychać. Inaczej grupy ćwiczeniowe nam się przemienią w mrówcze skupiska, gdzie student-nauczyciel nie będzie aktywną osobowością, tylko pospiesznie szpikowanym wiedzą numerem statystycznym. Wiem, że uczelnie boją się tej masowości, abstrahując już od faktu, że młody asystent, który szkoły właściwie nie oglądał, a ma edukować nauczycieli, może czuć usprawiedliwioną niezłość wobec swoich studentów. Baza materialna i kadra uczelniana to kwestie zasadnicze.

Od dawna wiadomo, że przygotowanie pedagogiczno-metodyczne i psychologiczne, nawet na uczelniach uniwersyteckich, było co najmniej niewystarczające. Szczególnie, jeśli szło o przygotowanie do pracy w szkole średniej, to że jak ktoś ukończy uniwersytet, to idzie uczyć do szkoły średniej. Obecnie zalecenia resortu są takie, iżby nauczyciele z wykształceniem uniwersyteckim zaczęli od szkół podstawowych, a dopiero potem drogą awansu najlepší

przechodzili do szkolnictwa średniego. Zrozumiałe też, dlaczego w dokształcaniu nauczycieli taki nacisk położono na personel dydaktyczny szkół podstawowych, zaś w nowo wprowadzonym systemie nauczycielskich studiów czterolletnich (stacjonarnych i zaocznych) odpowiednio zwiększono wymiar godzin dla przedmiotów pedagogicznych, metodyki nauczania i psychologii.

Wykłady i ćwiczenia studenta zaocznych globalnie stanowią 1/3 wymiaru godzin obowiązujących studenta stacjonarnego. Ale nauczycielskie studia stacjonarne poświęcają aż 90 godzin dla psychologii (na I roku) oraz 135 godzin dla pedagogiki (I — II rok), natomiast analogiczne studia zaoczne tylko 45 godzin dla wybranych zagadnień z psychologii i pedagogiki na I roku, a potem następuje egzamin. W przypadku wymienionych przedmiotów na obu rodzajach studiów zachodzi stosunek nie 1:3, lecz 1:5 (45:225) w wymiarze godzin zajęć. I ta dysproporcja niepokoi, a jeszcze bardziej martwi podobna dysproporcja w zakresie nauk politycznych: ekonomii, socjologii i filozofii. Myślę, że póki czas są to kwestie do przedyskutowania, choć zabrzmiał już pierwszy dzwonek.

— Czy rysujący się profil studiów zaocznych dla nauczycieli uważa pan za optymalny? — pytam doc. Mieczysława Marcuzka, dyrektora Instytutu Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie, członka doradczego zespołu dydaktyczno-wychowawczego przy ministrze Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

— Gdyby szło o aktualne plany tych studiów, które zresztą na uczelni otrzymaliśmy dopiero 10 czerwca, to zbyt szczerze w nich zajmują miejsce nauki polityczne, pedagogiczne i psychologiczne. Ponadto same studia powinny być dłuższe o rok od stacjonarnych, czyli musiałyby trwać pięć lat, konieczne poprzedzone kursem przygotowawczym, zagwarantowanym w porozumieniu krakowskim. Jeśli to ma być

przeszedłem na uniwersytet ze szkolnictwa i mam w swojej placówce między innymi trzech doktorów ze stażem w szkolnictwie. Więc jeśli idzie o przedmioty pedagogiczne, to o kwalifikacje naszej kadry uniwersyteckiej nie musimy specjalnie się martwić. Tak samo jak i o jej liczebność, biorąc pod uwagę te skromne 45 godzin ćwiczeń i wykładów z wybranych zagadnień psychologii i pedagogiki na I roku nauczycielskich studiów zaocznych. Gorzej może być z przedmiotami kierunkowymi, dodatkowe zajęcia na studiach zaocznych w czasie wakacji stwarzają dla kadry uniwersyteckiej obciążenie, mogące się odbić na jej pracach naukowo-badawczych. W każdym razie na dłuższą metę zapewne trzeba będzie wykształcić więcej pomocniczych pracowników naukowych.

Przyjmijmy, że zostanie rozwiązana delikatna kwestia bezpłatnych zastępstw za nauczycieli studiujących, i to rozwiązana w ten sposób, żeby się to nie odbiło na aktualnej pracy szkół. Przyjmijmy dalej, iż od dziś do zawodu w zasadzie nie będziemy rekrutowali ludzi bez wyższego wykształcenia — zgodnie z Kartą Praw i Obowiązków Nauczyciela — bo inaczej trzeba by do kształcenia ciągnąć w nieskończoność. Założmy, że studium nauczyciela ze wsi zostaną odciążeni z rozlicznych funkcji społecznych. Ze powołane ostatnio w okręgach szkolnych zespoły do spraw dokształcania nauczycieli będą sprawnie koordynować przebieg tego procesu. Ze rozdzielnik miejsc dla okręgów szkolnych na poszczególne uczelnie zostanie jeszcze raz przemyślany, by uniknąć niepotrzebnych dojazdów. Jeśli przyjmijmy to wszystko, to i tak przyszłość dokształcania nauczycieli przedstawia się nie całkiem krzepiąco, przy najmniej doraźnie.

Potrzeba dokształcania nauczycieli jest oczywista i pilna. Tak też została potraktowana przez władze oświatowe. Lecz spiesząc się z rozpoczęciem dokształcania, nie przygotowano wszystkiego na czas, żeby ten proces rozpocząć w optymalnych warunkach. Skoro jednak już system zaczął funkcjonować, trzeba teraz myśleć nad gruntownymi sposobami i możliwościami jego ulepszenia. Tak jak coraz częściej dziś dbamy w szkołach o pracę z uczniami najzdolniejszymi, podobnie wprawdzie dokształcać powinniśmy nauczycieli najlepszych, aczkolwiek bez formalnego cenzusu akademickiego. I słusznie w tym roku przyjeżdżo z Lubelszczyzny 129 dyrektorów szkół oraz sporą liczbę wizytatorów przedmiotowo-metodycznych na studia zaoczne, choć w początkowych planach ich nie uwzględniono. Nie chodzi przecież o to, by poprawić statystykę średniaków i słabaków legitymujących się wyższym wykształceniem. Może więc szło o to, żeby kształcić wprawdzie najlepszych, nie iść z początku przesadnie na masowość. Dopiero wraz z rozwojem bazy i kadry uczelnianej, produkcji podręczników akademickich, badań nad modelem osobowym i zawodowym nauczyciela, sukcesywnie upowszechniać proces dokształcania. Im system będzie silniejszy, tym łatwiej da się słabakom na średniaków przemienić, a średniaków na całkiem dobrych. I nie martwiłbym się, iż cały proces może się przeciągnąć poza rok 1990, założony w Raporcie o Stanie Oświaty. Ta data nie jest żadną nieprzekraczalną cyfrą magiczną. Problem dokształcania kadry nauczycielskiej powinniśmy rozwiązywać z perspektywicznym rozumieniem, skoro już teraz przystąpiliśmy do jego rozstrzygnięcia. By go w końcu rozwiązać raz — a dobrze!

Maciej Podgórski

NIE TYLKO MUZYKĄ ŻYJĄ FESTIWALE

Mirosław Derecki

Z każdym razem, kiedy na estradzie pojawiają się wesola, cięta w języku „Czubernatka” — Wanda Czubernatowa, ludowa poetka spod Zakopanego, publiczność witała ją rżniętymi oklaskami. Czulo się arcydeczną więź pomiędzy „starą znajomą”, presenterką z poprzednich festiwali, a widownią. Kazimierz przez trzy dni trwania Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych — od 29 czerwca do 1 lipca — kipiał atmosferą wzajemnej życzliwości i wspólnej zabawy, jaka ogarnęła i występujących i widzów. Po nudzie tegorocznego Opola ten szósty już z kolei, rozspiewany, roztańczony i rozbawiony festiwal był dla mnie prawdziwym odprężeniem.

Impreza, odbywająca się pod protektoratem Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, Wojewódzkiego Domu Kultury, Muzeum Okręgowego, Zarządu Okręgu PTTK i Zarządu Wojewódzkiego ZSMW, rozkręca się z roku na rok i zdobywa wśród widzów coraz większą popularność. Poza głównymi celami, jakie sobie stawia: popularyzowania wśród społeczeństwa muzyki ludowej, przegądu obecnego stanu folkloru oraz utrwalenia najlepszych tradycji ludowego muzykowania, kazimierzowski festiwal przekształca się za każdym razem spontanicznie w powszechny festyn, mający w sobie i coś z wiejskiej zabawy i coś z wesolego, gwarne jarmarku, jaki pamiętamy już tylko z czasów dzieciństwa. Równocześnie przecież ów radosny festiwal

w niejednym z uczestników wzbudzi nutkę niezbyt wesołej refleksji: „truzimem jest twierdzenie — piszą w Informatorze Festiwalowym organizatorzy — że pod naporem cywilizacji folklor, w swojej autentycznej postaci, wymiera, staje się coraz bardziej zjawiskiem historycznym. Kazimierzowski festiwal nie tyle może przeczy owej „prawidłowości”, ile powstrzymuje (podkr. — MD) tempo zachodzących zjawisk, jest formą dobrze pojętego mecenatu, rozumnej i czulej opieki sprawowanej nad istniejącymi jeszcze zespołami, solistami i instrumentalistami uprawiającymi prawdziwe ludowe muzykowanie.”

Może wynikać z powyższego również inna refleksja, taka, jaka nasunęła się jednemu z jurorów, red. Andrzejowi Wróblewskiemu z „Życia Warszawy”: „Co by to było, gdybyśmy jadać do Kazimierza, cały czas patrzyli w lustro, nie na szosę? Trochę mi to przypomina ten festiwal. To, co na nim widzimy, jest przeszłością. Jak wygląda folklor współczesny? Co się dzieje w miejskim wieżowcu, w którym mieszkają przedstawiciele pierwszego pokolenia inteligencji? Jak wygląda obyczajowość załogi fabrycznej na wsi? Jakże nowe pieśni obrzędowe powstają w miastach, których nie było jeszcze dziesięć lat temu? Jak zamomowił się u nas blues i czy tak zwane „bigbity” to naprawdę tylko wrzask, łomot i jazgot? Do tej pory Kazimierz nie dał mi odpowiedzi na te pytania, a bardzo chciałbym ją dostać. Żył, warto czasem spojrzeć wstecz, ale iść naprzód z głową odwróconą do tyłu jest diabła niewygodnie.” Jest sporo racji w tym co mówi Wróblewski. Może festiwal teraz, kiedy już okrzepł i wyrobił sobie odpowiednią pozycję, powinien obok „kultywowania” i „świeżowania” tego, co zanika, sięgnąć po obserwację i zgłębienie tego, co się tworzy na styku współczesnej wsi i współczesnego miasta: owego „współczesnego folkloru”, tkwiącego wszak głęboko korzeniami w folklorze „tradycyjnym”? Taka penetracja i prezentacja byłaby i jedyną w swoim rodzaju i niezwykle pouczającą. A sam festiwal nabrałby charakteru prawdziwie twórczej imprezy.

Wróćmy jednak do tegorocznego festiwalu. Nie silił się na „międzynarodowość”, jak niektóre z festiwali poprzednich, nie zobaczyliśmy ani jednego ludowego zespołu zagranicznego. Nie było też w nim pogoni za efekciarstwem; organizatorom nie chodziło o renomowane, sławne zespoły, ale o te najbardziej autentyczne, powstające w sposób spontaniczny w odległych często od placówek kulturalnych wsiach pracujące samodzielnie, bez pomocy zawodowych instruktorów. Kierując się tą słuszną zasadą, starano się jeszcze dodatkowo ograniczyć do minimum obecność kapel i solistów biorących udział w poprzednich festiwalach; inaczej kazimierzowskie spotkania stałyby się skostniałą imprezą, powielającą bezustannie te same wzory, a zespoły o ustalonej sławie i poziomie zagarniałyby pierwsze nagrody. I tak na przykład jeden z ubiegłorocznych laureatów, kapela im. Sabaly, działająca przy PKS w Zakopanem, w tym roku dała osobny koncert, ale poza konkursem. Nie było też rozgranicze-

nia — jak poprzednio — kapel na „regionalne”, czyli owe najbardziej autentyczne i na „stylizowane”, nie wiele już mające z autentycznym folklorem wspólnego, a działające na zasadzie „ludowych zespołów” — dotowanych hojnie przez związki zawodowe — w przykładowych domach kultury. Po prostu regulamin konkursu nie przewidywał uczestnictwa tego typu zespołów.

W sumie — VI Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych był w pewnym sensie sprawdzianem pracy regionalistów i działaczy kulturalnych, przeczesujących jeszcze raz uważnie znane już tereny w poszukiwaniu autentycznych ludowych talentów. Wśród niemal 200 uczestników (23 kapela, 57 solistów) zwraca uwagę wielka liczba „nowych twarzy” i, co ciekawsze, spora grupa kapel powstałych bardzo niedawno, a grupujących ludzi o bardzo dużej rozpiętości wieku. Ten pęd do samorządnego tworzenia zespołów regionalnych musi być wynikiem istnienia kazimierzowskiego festiwalu, jego popularności i oddziaływania na środowiska wiejskie. Kapela ludowa „Pusycy” z Kolna w woj. białostockim, reprezentująca folklor kurpiowski i składająca się z muzyków, którzy nie przekroczyli 26 roku życia, powstała zaledwie dwa lata temu. Kapela Regionalna z Zakrzewa w woj. poznańskim, której najstarszy członek liczy sobie lat 68, a najmłodszy 58, istnieje dopiero od 1971 r. Ośmiuosobowa kapela ludowa „Zgoda” z Rakuszowej koło Łańcuta powstała w 1970 r., ma już za sobą ponad sto publicznych koncertów, natomiast kapela ludowa z Giedlarowa na Rzeszowszczyźnie jest chyba najmłodszym zespołem, bo działa od 1972 roku, za to przeciętna wieku jej członków waha się około 50 lat. Podobnie z kapelą z Kamionki w powiecie chełmskim na Lubelszczyźnie: powstała w maju 1972 r.

Do kapel trafiają ludzie młodzi, często synowie i córki grających już od lat członków zespołu — spotyka się piętnastoletnich dudziarzy i czternastoletnich skrzypków, ale przytaczająca większość stanowią ludzie w mie wieku albo grubo po sześćdziesiątce. Zespoły młode (wiekiem, a nie — stażem) oscylują jednak raczej w kierunku owych zespołów „stylizowanych”. Tak na przykład Zespół Pieśni Podlaskiej ze Skrobowa w woj. lubelskim, składający się z 22-23 letnich mężczyzn i kobiet, pięknie prezentujący się w strojach spod Lubartowa, który podbił widownię swoją werwą, zawadiackością i... jednością przyśpiewek, mogli rzucić wytrawnych folklorystów pewnym wystylizowaniem programu na ludowy „show”; czuć było tutaj rękę reżysera, szlifującego godzinami układy plastyczne, dykcję i mimikę swoich podopiecznych. Niemniej jednak właśnie województwo lubelskie zgłosiło do konkursu największą liczbę zespołów nowoodekrytych i „dziewięć” świeżych. Chociaż żaden z nich nie znalazł się w czołowej nagrodzonej, to jednak — moim zdaniem — właśnie obecność kapel i solistów z regionu lubelskiego stanowiła w głównej mierze o interesującym profilu festiwalu.



On grał na starej harmonii, ona dzielnie sekundowała mu na bębnie. Leokadia i Walerian Nitychorukowie z Wólki Polinowskiej otrzymali nagrodę dziennikarzy.

Fot. J. Trembecki

Nagrodę dziennikarzy przyznano kapitałnej parze wykonawców — małżeństwu Leokadii i Walerianowi Nitychorukom z Wólki Polinowskiej w powiecie Biela Podlaska. On grał na starej polskiej harmonii, ona dzielnie sekundowała mu na bębnie z cynamelami, posługując się w „grze” już też na piętą, już to czymś w rodzaju walka do ubijania kartofli. Instrumenty były bardzo stare, być może odziedziczone po rodzicach albo dziadkach, sfatygowane od wieletoletniego używania, ale też widać było na pierwszy rzut oka, że Nitychorukowie muzykują sobie w domu w chwilach wolnych od pracy, dla własnej przyjemności a nie na pokaz. Czuli się też na estradzie jak u siebie i zapewne Nitychorukowa zapomniała o istnieniu widowni kiedy, śpiewając „Zakładajcie kare konie, zakładajcie koleś...”, równocześnie musztrowała męża, gdy na chwilę „wypadł” z melodii. Byli najsympatyczniejszą parą na festiwalu, ale też o nich chyba musiało myśleć jury, kiedy w zaleceniach końcowych dla organizatorów zwracano uwagę lubelskich działaczy kulturalnych na otoczenie większą opieką zespołów ludowych z powiatu białskiego „w celu ukiepunkowania repertuarowego”. Nitychorukowie oprócz autentycznych wiejskich przyśpiewek z lubością prezentowali małomiasteczkowe „dowcipne” piosenki w najgorszym stylu.

Jurność nie opuszczała nawet najstarszych wiekiem przedstawicieli regionu lubelskiego: 65-letni wirtuoz na listku bżowym i fujarce, Józef Bańka ze Strzyżewic w powiecie bychawskim — zrobił furorę pełną werwy piosenką: „Stary ja już stary, Już robić nie mogę, Na młodą dziewczynkę Zalażyłbym nogę...”

„Ale szczególnym aplauzem cieszyła się kapela ludowa z Dzierżan w powiecie Tomaszów Lubelski, istniejąca już od pięćdziesięciu lat, a licząca łącznie 6 muzyków) 34 lata, występująca w autentycznych, w młodości chyba jeszcze używanych, własnych sukmanach, prezentującą m. in. przyśpiewkę: „Do stodoły siano zwiozę i na siano się położę, Będę sypiał przy jej boku, Nie odstąpię ani kroku”.

Z tegoż powiatu tomaszowskiego objawił się jeszcze jeden talent, zbliżający się do sześćdziesiątki, niezwykle sympatyczny Józef Szparaga, grający z prawdziwą maestrią na listku bżowym.

Jury, któremu przewodniczył dyrektor Średniej Szkoły Muzycznej w Lublinie, mgr Włodzimierz Dębski, przyznało pierwszą nagrodę Kapeli Regionalnej z Zakrzewa w woj. poznańskim, w składzie: Franciszek Mańko — koziol (53 lata), Franciszek Domagała — klarinet (58 lat), Józef Piskorz — skrzypce (68 lat), Marian Zawiewa — skrzypce (67 lat), Maria Bartkowiak — śpiew (68 lat) i Franciszka Kunke — śpiew (58 lat). Prezentowali się doskonale, kobiety w idealnie wyprasowanych szafirowych sukniach z błękitnymi fartuszkami, w ślicznych białych koronkowych czepkach, mężczyźni w czerwonych kurtkach z białymi guzikami, czarnych spodniach i wysokich butach oraz zawiadawczo noszonych czarnych kapeluszach. Ich muzykę i sposób zachowania na estradzie cechowała wykintność, godność i głęboka kultura. Z miejsca stali się ulubieńcami publiczności.

Drugie miejsce przypadło również poznaniakom, Kapeli Dudziarzy Wielkopolskich, zespołowi założonemu w 1945 r., a działającemu pod patronatem Pałacu Kultury w Poznaniu. Znani są z wielu konkursów i festiwali krajowych i międzynarodowych, występowali m. in. w Cze-

Dokończenie na str. 10



Barbara Muńko z kaszubskiego zespołu „Bazany” — jedna z najpopularniejszych dziewcząt festiwalu.

Fot. J. Trembecki

A LEKSANDRA Fredry „złamane pióro” Mczy sobie już ponad 120 lat. Dramatyczna to historia i żalona, toteż komentatorzy często do niej wracają. Ktoś przeprowadził nawet całe śledztwo wokół niej. Nie dziwota: ludzie chcą wiedzieć, kto był „zabójcą” Fredry komediopisarza, kto go zmusił do „milczenia”, do „zerwania z literaturą”. I można by dalej rozwijać ten metaforyczny proces, gdyby nie fakty, które mówią co innego, a mianowicie to, że Fredro nigdy pióra nie łamał.

Było tak: prezentatywna twórczość autora najznakomitszych naszych komedii skończyła się wraz z publikacją V tomu jego „Komedyj” i fiaskiem „Rymonda”, to jest w roku 1838. Wszystko, co potem napisał, poszło do szuflady. (Z drobnymi wyjątkami).

Co wiemy o tym od samego autora? W odpowiedzi na list A. Czartoryskiego z Paryża z dnia 7 lipca 1842 r. w którym ów nie widząc świątecznych plodów genialnego pióra, prosi, aby Fredro chciał ziomek udurować nowymi — poeta pisze dnia 1 II 1843: Uczucia, których list W. Ks. Mości stał się dla mnie tłumaczem, pojmuję całą siłą duszy. Szczytę się pochlebny wczuwanem. Jest to poniekąd nagrodą moją. Byłoby niezawodnie i najsiłniejszą zachętą, gdyby nie fizyczne cierpienia, które już od lat kilku wytrąciły pióro z ręki. Skazany na zupełną bezczynność, nie tracę wżakże nadziei, że będę jeszcze kiedyś w stanie odpowiedzieć godnie zaufaniu Tego, który przykładem życia swojego uczy nas, jak

pracować, jak się poświęcać dla dobra drogiej nam Ojczyzny (...).

W „Trzy po trzy” (już w wersji początkowej z lat 1844—1846) oznajmia: Polamałem moje pióro autorskie. W roku 1868 powiada do K. Wł. Wójcickiego: Nie przestałem pisać, tylko drukować nic nie będę. Moje wyobrażenia o sztuce, a szczególnie pojęcia o literaturze dramatycznej, nie zgadzają się z dzisiejszymi. Uniknąć chciałem jedynie tej niezrozumiałej zaciętości recenzentów, z jaką występowała przeciwko mnie, jakbym zbrodnię jaką spełnił, że pisać! Pisałem jak umiałem i jak mi natchnienie każało. W roku 1871 w „Pro memoria” pisze: Milczałem lat piętnaście, a w jednym ze swych brulionów zawartych w „Kodeksie lwowskim”: 1839 przestałem pisać, a zacząłem znowu (...) 852.

Więc — przestał pisać czy nie przestał? Jak rozumieć owo „milczenie”? Czy pisać do szuflady znaczy milczeć? A co się zmieniło po roku 1852? Nie było już „milczenia”?

Wypowiedzi autobiograficzne pisarza mają w badaniach historycznoliterackich znaczenie niemałe, ale tym razem, trudno i darmo, wątpliwości tyle, że niepodobna w cokolwiek uwierzyć, a co dopiero w owo „polamane pióro”.

A czego dowiadujemy się z innych źródeł?

W roku 1845 J. I. Kraszewski informuje A. Przędzińskiego, że Fredro gotuje podobno dramat historyczny. W roku 1854 ukazuje się w „Bibliotece Warszawskiej” wzmianka: Al. Fredro przechowuje wiele nieznanych utworów w tece. Czy je ogłosi drukiem rychło? Ci, którzy bliżej są autora, powątpiewają, pomimo że sam autor widzi, i jakim współczuciem jego prace

powszechność przyjmuje. W roku 1857 „Dziennik Literacki” wyraża pogląd, że nie było przerwy w twórczości Fredry i że ma się znajdować wiele w jego tece utworów wykończonych.

Jest też w papierach Fredrowskich, w protokóle z „Narady względem komedji A. Fredry” z dnia 24 II 1876 r. taki passus: Po odjęciu „Opery”, „Karlińskiego” i „Przemysławca” zostaje 15 sztuk. Radzili wtedy przyjaciele i syn zmarłego poety nad prezentacją jego sztuk „szufladowych”. Pozostała po tej naradzie zagadka w postaci owych trzech tytułów. Cóż to były za sztuki? „Opera” nie mogła być „Rymondem”, bo ten był na liście tamtych 15 sztuk, „Karliński” może kojarzyć się z „Obroną Olsztyna”, ale i ona tam figuruje, a „Przemysław” też pozostał zagadką. Faktem jednak jest, że uczestnicy owej narady mieli egzemplarze tych utworów w rękę, co stanowi potwierdzenie głosów J. I. Kraszewskiego i „Biblioteki Warszawskiej”.

Czy Fredro złamał pióro?

Eugeniusz Gołębiowski

W roku 1877 pisze Wł. Zawadzki, znawca przedmiotu, w swoich „Pamiętnikach życia literackiego w Galicji”: Fredro raptem zamilkł, przynajmniej dla współczesnej publiczności, a chociaż nie porzucił pióra i kilkanaście jeszcze sztuk później napisał, jednakowoż zamknął szczerze tekę.

Jest i wzmianka u E. Kucharskiego w jego „Chronologii komedji i niektórych pomniejszych utworów Al. Fredry”: Jedynym znanym mi fragmentem jest nieznany utomek zaczętej sztuki francuskiej, dochowany w Przybiciach. Wedle informacji pana Leona Szepteykiego ma on pochodzić z czasu, kiedy poeta, rozgoryczony na krytykę, pozwolił chwilowo zamysł pisania po francusku.

Mamy też wiadomość, że Fredro pisał w tych latach (prawdopodobnie) jakąś powieść, której główny bohater, literat „przestał być autorem”. Fragmenty tej powieści odnaleziono w cytowanym „Kodeksie lwowskim”.

Malo tego. W latach 1843—1848 napisał Fredro wspomniany już pamiętnik „Trzy po trzy”. Wartość tej prozy jest taka, że choćby jej autor innych dzieł nie stworzył, zasłużyłby sobie na poczesne miejsce w naszym piśmiennictwie, nie gorsze od Paskowego. Wprawdzie Fredro pisał ów pamiętnik dla rodziny, ale charakter utworu jest par excellencem literacki i, co również ważne, aktem ostatniej woli przeszedł go autor do druku.

W okresie „milczenia” skomponował też Fredro szereg wierszy lirycznych, epickich, epigramatycznych itp. — nawet, jak wolno mniemać, duży poemat (1000 wierszy) pt. „Szewc i diabeł”. Istnieją też wiersze Fredry, których czas powstania nie jest znany, ale ich tematyka, zabarwienie uczuciowe i aluzje autorskie są wyrazem nastroszów poety właśnie jakby z tamtych czasów. Należą do tych utworów: „Motyl”, „Wiatr i noc”, „Dźwięk słów...”, „Mucha”, „Prawda jest...”, „Zbytek nieszczęścia...”, „Biedny karlik...”, „Sojalizm”.

GDZIES w połowie ulicy, tuż za rozwalającym narożnych lepiankę zastaniających zakręt, obok jego kocio-łbkiej nawierzchni będącej zarazem trotuarem i rynsztokiem, przy skrzyżowaniu Złoty Ślasy i domu braci Czemiślaków, stoi uliczna pompa. Jest to zwykła, najwzrostniejsza pompa, taka, jakich sporo widać w tej okolicy. Typowy, ciemnometalowy walec w kształcie kafara o lekko rzeźbionych brzegach z wystającą zeń, krzywo ku ziemi skierowaną rurą czerpiącą. Wypuszcza strugę wody przy małej, metalowej rękojeści. Dopełnia ją zamulona krata odpływu. Po drugiej stronie ulicy, pełnej jeszcze w tej wczesnej porze rosiące wilgotnego cienia, stoją nierównym rzędem białe, parterowe domki. Do ich mieszkań, małych, przeważnie jednopokojowych, wchodzi się z małego korytarza, wybiegającego aż na ulicę kilkoma stopniami drewnianych schodków.

Dochożąc do tego miejsca odczuwam silniejsze bicie serca. Często bowiem z domku naprzeciwko wychodzi tu po wodę młoda dziewczyna. Jest pełna nieulecatego jeszcze z niej znu, przytępnego w faldach byle jak narzuconego szlafroka. Nie znam jej imienia. Ma twarz Cyganki o krótko przyciętych, gęsto wijących się włosach i równie czarnych, pełnych wilgotnego ciepła oczach.

Dziewczyna o oczach Thais. Nabiera wodę do małego wiaderka. W chwili, gdy mijam ją tak blisko, że rozprysnę kropie



Fot. W. Gryta

moczą mi nogi. Pod jej szlafrokiem wyczuwam nagie ciało, a na bosych stopach dostrzegam ranne pantofelki, czarne, mocno przydeptane, z wielkimi, różowymi puzkami na palcach.

W pochmurne i deszczowe dni przechodzę tamtędy pełen sprzecznych uczuć nadziei i niepokoju, a gdy zawieszony mijam pustą pompę, rzucam ukradkiem spojrzenie w otwarte okno. Widzę ją wówczas naga jeszcze, zapinającą przed niewidocznym lustrem guzik biustonosza. Pochyla głowę tak, że włosy zastaniają jej twarz, a naprężone wygięciem ramion piersi twardnieją wzywając w swej młodzieńczej formie.

Dziewczyna jest częścią tajemnicy załegłej nad tą ulicą, a ruchy jej zdradzają

ją w każdym szczególe, każdym krokiem i gestem. Jest jakby fragmentem, epizodem krótkotrwałym, a w swej ruchliwości efemerycznie nieuchwytnym. Wymyka mi się, pozostawiając po sobie mokry chłód świeżej wody.

Z wzrokiem utraconym i zniewolonym przedwczesną kapitulacją przemyskam chylkiem, niezdarnie jak ślepiec, który oczy swe pozostawił tam, na bruku, czolgając się niewolniczo u jej stóp. Uciekam pełen wstydlwego poczucia winy wobec siebie samego, poczucia teńszliwej abdykacji.

Po drugiej stronie ulicy mieszka Łońka. Nikt nie wie, co robi i kim jest. Mieszka w małej, na pół zawalonej ruderze razem ze swą ciotką — bo Łońka jest sierotą. Rodziców stracił wczesnie i jeszcze jako dziecko został z litości przygarnięty przez nią, jak tu ją wszyscy nazywają, ciotkę Albinę. Mieszka u niej nic nie robiąc i walcząc się przez całe życie. Ma osiemnaście lat i opinie złodziejki.

Złośliwi szepczą, że Albina bynajmniej nie jest jego ciotką, a Łońka żyje z nią odpłacając tym za lósko i jedzenie. Inni znów twierdzą, że jest ona prawdziwą ciotką Łońki, co dodaje sprawie posmaku pikantności podkreślonej wiele mówiącym przyrzuceniem oka.

Nikt jednak nie ośmiela się tego mówić głośno, a już najmniej w obecności Łońki. Łońka nie znośi jakiegokolwiek uwagi na temat swojej osoby. Jest przy tym silny i mściwy. W ubiegłym roku pewnemu dowcipnisiowi, który pozwolił sobie w jego obecności na niedwuznaczną aluzję, jedynym uderzeniem pięści wybił przednie zęby, a gdy pobity splukiwał krew z twarzy przy ulicznej pompie, Łońka uderzył go powtórnie w tył głowy tak, że nieszcześnie formalnie nadział się na kurek masakrując sobie szczękę. Łońka, kopnąwszy potem leżącego, zbiegł i ukrywał się przez parę miesięcy, a może dłużej, do czasu aż sprawa przychylała na tyle, że bezpiecznie już mógł powrócić. Sprawa przychylała, jednakże ludzie pamiętają i teraz starają się omijać zarówno Łońkę jak i dom ciotki Albiny.

Jak już powiedziałem, jest to stara, na pół zawalona ruderka. Mieści się w głębi ogródka, którego nigdy nie trzebione ziel-sko rozrosło się tak obficie, że całkowicie zastania dom, ukazując oczom tylko płaty zapadniętego dachu, porysowane żebrami przegiętych krokwi i wystający zeń czarny piszczel osmalonego komina. Ogródek jest zarosły jak dżungla, a nazywają go ogrodem chyba tylko dla płotu odgradzającego dom od uliczki niskim, drewnianym obramowaniem.

Każdego ranka Łońka staje przy owym płocie i niedbale oparłszy się o sztachety czeka. W tym czasie przychodzi po wodę ona, dziewczyna o oczach Thais. Powtarza się to regularnie dzień w dzień, ale ona zda się nie dostrzegać tych prób, mimo że Łońka przez cały czas nie spuszcza z niej wzroku. Nabiera szybko wodę i wraca, nie zaszczywszy jedynym bodaj spojrzeniem czekającego. I tak jest codziennie. Łońka stoi potem jeszcze przez pewien czas, kontemplując w zamyśleniu trzepoczące nad dachami gołębie, po czym odchodzi gwizdząc przez zaciśnięte zęby jakąś melodię.

Łońka oskubuje kurę. Rękawy odwinął powyżej łokci i sprawnie wyrwa kępkę pierza, które unosi się wokół niego jak chmura, osiadając gdziekolwiek bądź, na włosach, stole wyniesionym przed dom, obrastając mu dlonie lepkie teraz od krwi. Jest cicho, ale najłżejszy nawet podmuch

rozwieja chmurę piór. Łońka potrząsa wówczas głową aż czarny kosmyk włosów opada mu na oczy. Tęmi tam sklejony i przywarły do spólnego czoła, jak czarna pijawka. Łońka niecierpliwie się. Jego dlonie miętosa pta, przewracając go z boku na bok i wygląda to tak, jakby toczył z nim bezlitosną, nierówną walkę, której wynik jest z góry przesądzony. W tych ruchach czai się jakaś okrutna chęć popisania się, gdyż Łońka jest próżny, a przy tym nie sam.

Nie wiem, kiedy się poznali, ale teraz stoi przy nim ona. Oparta policzkiem o jego ramię. Dziewczyna o oczach Thais. Nieruchoma. Pełna zadumanego uśmiechu pięści wzrokiem jego ręce od dloni aż po łokcie i wyżej, do barku, zza którego bez-

ny w coś odległe niedostępnego. Zwolna zwraca głowę ku miejscu, gdzie stoi, a ja nie zdaję sobie jeszcze sprawy, że zostałem zdemaskowany. Dopiero gdy jego oczy stykają się na moment z moimi, umykam wzrokiem w bok, natrafiając wlepione we mnie spojrzenie dziewczyny. Oboje milczą, ale wiem już, że ona wdziała mnie. Teraz usta jej poruszają się bezgłośnie, a cała twarz tężeje i tylko oczy wskazują Łońce moją postać. Ponownie obleva mnie fala niepokoju, każąca bezwzględnie opuścić to miejsce, lecz czuję, że stopy moje znieruchomiały, jakby sparaliżowane nagłe i nieoczekiwane.

Wbrew sobie samemu stoję, czekając. Ona szepe mu do ucha, a Łońka kiwa lekko głową na znak, że rozumie. Wydą-

Dziewczyna o oczach Thais

Tomasz Krzewski - Księski

skutecznie usiłuje zwabić jego spojrzenie. Gwałtowne ruchy ramion nie zniechęcają jej. Odrzucona, czeka cierpliwie, aż Łońka ponownie otrze wierzchem dłoni czoło i powraca na swoje miejsce tuląc policzek do ramienia, jeszcze silniej wpięając się pierściami w jego plecy.

Oczy jej, szeroko otwarte i jakby nieobecne, błądzą mimochodem po całym podwórku bez celu, tam i z powrotem. Zatrzymują się i znów wędrują, wracając co chwila ślizgającym się lekko spojrzeniem, by w końcu odszukać muskularne, pełne czarnego włosa ramie Łońki, na którym nieruchomieją pełne zagadkowej tęsknoty.

Łońka nie zwraca uwagi, lecz tylko pozornie. Każdy jego ruch jest z góry przygotowany, wyreżyserowany i przeznaczony na efekt. Dla niej, dla jej oczu. Gwizdże bez troski wybierając z precyzją, szybko i sprawnie, ostatnie już włoski spod ogolonych kikutow. Waży w dloni błądy kadłub, jakby przez moment namyślał się, czy rzucić nim w przeciwną stronę, po czym ostrożnie składa go na samym brzeżku stołu.

Jest zadowolony. Uśmiecha się i wtedy jego wzrok napotyka nieruchomo wpatrzony weń spojrzenie dziewczyny. Jest piękne. Zda się błagalnie wznesione ku górze w jakiejś niemej prośbie czy zachwyceniu tam, gdzie wznosił się stwardniała w pierwotnej brutalności twarz mężczyzny. Oboje tworzą w tej chwili jakąś symboliczną grupę ukłóści przed barbarzyńską siłą, zespoleni niewidoczną nicią wiążącą ich oczy w jedno, pełne wymownej treści spojrzenie.

Jeżeli zadowolony. Uśmiecha się i wtedy jego wzrok napotyka nieruchomo wpatrzony weń spojrzenie dziewczyny. Jest piękne. Zda się błagalnie wznesione ku górze w jakiejś niemej prośbie czy zachwyceniu tam, gdzie wznosił się stwardniała w pierwotnej brutalności twarz mężczyzny. Oboje tworzą w tej chwili jakąś symboliczną grupę ukłóści przed barbarzyńską siłą, zespoleni niewidoczną nicią wiążącą ich oczy w jedno, pełne wymownej treści spojrzenie.

Czuje, że powinienem odejść. Moja obecność, obnażająca to milczące celebrowanie niemych wyznań, profanuje je bezwstydną niedyskretną ciekawości. Stoję jednak oniemiały jak oni i wyłączony poza nawias skrywanego mnie płotu. Są oboje bezbroni i wydani na moje spojrzenie, nieświadomi tego i ufnie w ciszę otaczającą ich zewsząd.

Łońka zgnania dłońmi poklepane krwią pióra i rzuca je pod stół, po czym bierze nóż i rozpruwa kurze brzuch zanurzając w nim dłoń. Nagle nieruchomieje. Trwa wpatrzony przed siebie i jakby zasłucha-

ga powoli dłoń z wnętrza kury i unosi ją w górę, za siebie, by z całym rozmachem, silnie wyrzucić ją do przodu. Jakaś bezkształtna masa przelatuje mi tuż obok twarzy, uderza silnie w niewidoczną za plecami ścianę. Słyszę głośnie plaśnięcie. Przytomnieję i rzucam się do ucieczki. Słyszę jakieś przekleństwo. Ktoś uchyla okno, a ja biegnę bez tchu, jakbym chciał dogonić umykający czas.

Wiem, że moja ucieczka jest śmieszna i równie bezsensowna, jak uprzedni bezwład, że Łońka zrobił to dla kawy. Skorzystal z nadarzającej się sposobności, by popisać się przed dziewczyną, a mimo to przyspieszam kroku.

— Teec, kapuś! — słowa Łońki gonią za mną, a drwiący i bezlitosny śmiech dziewczyny towarzyszy im, podcinając mi nogi.

— Czekaj, psuabracie — dyszę wściekły nie tyle na Łońkę, co na siebie samego z poczucia własnej kompromitacji. — Czekaj! Zobaczysz! Ona cię wykiuruje. Zobaczysz, zobaczysz — powtarzam do siebie, widząc jeszcze te pełne zadumy oczy wznesione i pełne przytępnego głębi.

W domu rzucam się na tapczan, goniąc myślami bezładne skojarzenia i porządkując je, rozpierzchle i poszarpane.

— Ona cię zdradzi, Łońka! zobaczysz ty jeszcze. Ona cię zdradzi tak, jak przed chwilą zdradziła mnie — mówię do siebie, a głos mój chrypi flegmą zadyszanego gardła.

— Ona cię zdradzi — powtarzam z uporem. Ona zdolna jest do zdrady. Tylko do zdrady! Ty tego nie wiesz, ale ja już wiem. Jej oczy! Jej oczy nie patrzą na ciebie, naiwny idioto! Ona patrzy w siebie. Jest tylko w sobie zakochana i nie słucha nikogo, poza sobą samą. Jej oczy patrzą tylko we własne wnętrze skryte przed tobą i niedostępne. Patrzą w to wnętrze tak czarne, jak czarne są jej oczy. Tak czarne i puste, że... trudno dostrzec w nim serce. To właśnie! To ono każe jej tulić się do ciebie — myślę głośno. — Ale zobaczysz! Zobaczysz, że w odpowiedniej chwili odwróci się od ciebie plecami, tyłkiem! Słyszysz?! Słyszysz, ty idioto?! — krzyczę z mściwą satysfakcją w głos czterem ścianom pokoju.

Kilka przykładów:

MOTYL
Białych motyli krocie pędzi ponad kwiaty:
Jeden tylko był strojny w złoto i szkarlaty.
Cud piękności!... Czym przedzej...
Tak świetność z męczącym idą często razem.

WIATR I NOC
— Czemu ty szumisz? — noc się wiatru pyta.
— Czemu? Bo żyję... dmę sobie, i kwita! —
Odpowiedział wiatr burzliwie —
Ale tobie ja raczej się dmę, Zimno czy ciepło, ślota czy pogoda,
Ty wciąż milczysz, śpisz jak kłoda! —
Noc mu na to: — Jesteś w błędzie
Zupełnie w tym względzie,
Bo kto milczy, nie śpi wcale.
Ale raczej czuwa stale;
Tego, który działa w ciszy,
Głupiec nigdy nie dostarczy.
A z twojego szumu
Ni pomocy, ni rozumu,
I jak świat światem, a wszędzie
Wiatr wiatrem tylko będzie!

PRAWDA JEST...
Prawdą jest niemylna i wątpliwość nie trzeba:
Najwięcej jest matek w świetlicy nieba,
Najwięcej aktorów u czyścicowych progów,
A w piekle najwięcej wściekłych demagogów.

Zachowały się też z tego okresu wiersze Fredry, których chronologia jest znana, a to: „Poselając żonie portretu dzieci...” (1839), „Pod portretem zmarłego syna” (1840), „Taniec piekielny” (1848), „Róża i liściek” (prawdopodobnie 1848), „W zimie zarówno...” (1848), „Ręcznik i batóg” (przed 1848), „W album młodego poety...” (ok. 1848). Są wśród nich rzeczy mocne, np. „Taniec piekielny”, utwór złożony z siedmiu oktafów. Iż w nim siły, temperamentu i polotu, a jakie zakończenie!

Światło gaśnie — noc jak w piekle,
Para parę ściga wściekle,
Trząca, wali, depece, tłoczy,
Wal się pętry, kłab się toczy;

Śmiech, przekleństwo, krew, kurzawa!
Hej, to taniec, to zabawa!
Niechaj żyją nie niewarci,
Niechaj żyją wszyscy czarci!

I jak tu mówić o „polamanym piórze”?

W tymże czasie ukazały się pierwodruki dawniejszych wierszy Fredry: „Do Dominika N” we „Lwówianinie” (1838) — za zgodą autora, „Do Ludwika Jelskiego” w „Przyjacielu Ludu” (1843) i „Złamanie wiary” w „Albumie na korzyść pogorzalców” (1844) — też za zgodą autora.

Pozwalał też Fredro w tym okresie, jak i do końca życia, grać wszystkie swoje stare sztuki. Nie wycofał ani jednej, a miał poważne powody do wycofania „Męża i żony”.

Interesował się też publikacjami dawnych swych sztuk. Wprowadzał zmiany i dodatki do tomów, zwanych przez księgarńnię Wilda (1839), nadto w roku 1841 wznosił „Nieszczęścia najszcześniejszego męża”.

Nie „polamał więc pióra”, nie „zerwał z literaturą”, lecz pisał bez przerwy do końca życia. I miał wyniki, nie zawsze arcydzieła, ale polażne. Wystarczy tu wymienić takie pozycje, jak: „Wielki człowiek do małych interesów”, „Pan Benet”, „Świeczka zgasła”, „Ostatnia wola”.

Ale wszystko, jak się rzekło, poszło do szuflady. Miał poeta ku temu poważne przyczyny. Jak wiadomo, Seweryn Goszczyński zaatakował Fredrę (w „Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności”, 1835) w sposób bezwzględny, raniąc nie tylko pisarza, ale i jego godność osobistą.

Nie mniej jadowitą była recenzja Leszka Borkowskiego. Dołożył inni, wprawdzie ogólnie, acz nie bez wyraźnej negacji.

Weszła też w grę przyczyna natury ogólniejszej. Czwartym dziesiątkiem XIX wieku był to czas najbujniejszego rozkwitu naszej poezji romantycznej. Klasycyzm i realizm znalazły się w cieniu. Fredro — klasycysta i realista — wyczuł to wyraźnie. Napisał nawet we wspomnianym brulionie: *W drugiej periodyce literatury namnożyło się, ale ich zapatrywania się na sceniczne dzieła nie podzielać — stałem znowu sam zupełnie.*

Była w tym zapewne przesada, bo komu jak komu, ale autorowi „Pana Geldhaba”, „Ślubów panieńskich” i „Zemsty” nigdy nie brakło wielbicieli, trudno się jednak dziwić pesymizmowi poety, toć uderzyły weń jednocześnie gromy krytyków i cały romantyzm.

A może była jeszcze jedna przyczyna?

Fredro, jak wiemy, nigdy nie bagatelizował spraw pieniężnych. Umiał kalkulować. Znalazło to też wyraz w jego instrukcjach wydawniczych. W jednej z nich jest taka uwaga: *To wszystko (komedia) nie może mieć tegoczesnej nowości i jako kartki z lat przeszłych mogą zajmować.*

Dalej: Fredro był dobrym ojcem. Jest tedy zrozumiałe, że łączył zamierzenia wydawnicze z przyszłością swych dzieci. Chciał im w spadku zostawić nie tylko laury, ale i honoraria poetyckie. I tak: gdyby był za życia opublikował swoje nowe sztuki, niewiele by to dzieciom dało, bo rzeczywiście warunki prezentacji jego dzieł w owym romantycznym czasie nie mogły być korzystne. Gra była więc warta świeczki. Jak to z obliczeń poety wynika (a tych rachunków w jego instrukcjach wydawniczych nie ma!) — nakład wszystkich jego

pisem starych i nowych mógł w przyszłości przynieść około 100 000 złr czystego dochodu, a to był już majątek spory. Po co miał więc publikować czy wystawiać swoje nowe sztuki, skoro brakowało im „tegoczesnej nowości”? Wolął zamknąć je w szufladzie, aby z czasem stały się „kartkami z dawnych lat” i aby jako takie wzrosły w cenę. Ku pożytkowi dzieci.

Pozostała jednak zagadka. Jeżeli Fredro nie porzucił piarstwa, to po co wymyślił owo „polamane pióro”?

No cóż, bronil się — i jak to on — wykonywał obronę sposobem wojskowym i... komediowym. Obwarował się „milczeniem” i razil nieprzyjaciół „polamanym piórem”. Taktyka była znakomita, bo jakże napadać na poeę, który milczy? Jak odpierać ciosy, zadawane „polamanym piórem”?

I stary wiarus wygrał batalię. Wywołał odium społeczności przeciwko „zabójcom” poety. Jakaż to musiała być kanonada, skoro do dziś pękają jej w Fredrologii kartacze „polamanego pióra”.

I pytanie ostatnie: czy krytyka Fredre zaszkodziła? Jedynym rezonatorem jego twórczości stała się szuflada i może... żona, a później — syn. To prawda, ale pisarz tej miary co Fredro mógł to chyba przeboleć, tym łatwiej, że grano i czytano jego dawne utwory. Gorzej było zapewne z jego samopoczuciem, z obrażoną publicznie godnością osobistą. Wiadomo: nie zasłużony nagany nikomu nie służy, wywołują złą krew, patologizmy. Coś w tym rodzaju zaszło właśnie u Fredry: hipochondria, splin, czarnowidztwo, a co najgorsze, to ostra arytmia dyspozycji twórczych, choć daleko mu jeszcze było do sędziwości.

Anna Kryda

ty mnie także nie weźmiesz tutaj nie widziany spotkany tam gdzie oblok chociaż nie w tej chwili nad nie moją twarzą czasem się pochylisz moim nie imieniem zacolujesz noce mój nie tutaj spotkany daleko mi dalej niż na mgnienie oka żuk umiera w trawie

Więc byłeś w wielkim mieście. Opowiedz — jaka tam cisza której tutaj ciałe mi mało. Jakle tam szerokie ulice gdy tutaj domy się sprzeczoją o każdy kamień. Crysze tam oczy bardziej wiernie niż moja nieustanna pamięć. Jaki tam deszcz czy bardziej wilgny niż moje rzęsy. Jakle tam słowa na pożegnanie.

Takie jak tutaj już nie będą. Chyba, że zmienisz mnie w szum trawy.

Rozmowa w sobotę w dzień ostatni miesiąca i roku

O poezji

ja — wyjść z tego tunelu z dorzeczy wszystkich wisiel melancholii
wiosną ptaki gniazda wiją z zesłorocznej trawy
i ukryte narodzin słowa bezimienne święta
ty — w czterech kątach miłość w dżbanie naszym wizerunkiem
i ziarno wzięte może z dawnych opustoszeń
i w naszych brzuchach spełni się ofiara
ja — za kurtyną powieki porzucona młodość
w kalendarzu rok przestępny — wiaty miłości
o północy try jak z cebul kopulek cerkiewnych

ty — świt spłynie w tętnic moich przebudzone źródła
nocą źrenice moje oblecują owoc
gdy jeszcze snów twoich żyzny archipelag
ja — wyjść z tego tunelu gdzie słowo tylko szkicem przedmiotu
z dorzeczy krwi czarnej wisiel jezior ołowianych
ty — morze na spotkanie słońca zaskwita zielenią
w moim brzuchu kwitnie nasza żywa obietnica

Contada najlepiej czyta się na plaży
kiedy morze spokojne a pod ręką cisza
o wojnie najciszej po wojnie się pisze
w pokoju gdzie słońce lasi się do twarzy
o miłości najpiękniej wspomnieć z przyjaciół
który w oczy popatrzy dłużej nad kieliszka
o poezji najszczerzej pomyśleć z tak blisko
aż w ciemności zabłysną dwie źrenice wiersza

NIE TYLKO MUZYKĄ
ŻYJĄ FESTIWALE

Dokończenie ze str. 8

chosłowacji, NRD, NRF, Anglii, Holandii i Bułgarii.

Pierwsze miejsce w kategorii solistów-wokalistów zajęła Walentyna Pakula z Poniatowej, zaś pierwszą nagrodę w kategorii solistów-instrumentalistów otrzymał Józef Broda z Koniakowa w woj. katowickim. „Multiinstrumentalista ludowy” — jeżeli tak by go można określić — 32-letni Józef Broda, był najbardziej atrakcyjną postacią festiwalu. Posiadał najpiękniejszą brody i wąsów, zadziwił publiczność i jurorów nieprawdopodobnymi zdolnościami: grał na listku bżowym, na listku wierzbowym, na fujarce, okarynie, na gajdach (rodzaj dudów posiadających dwie piszczałki) i wreszcie — „na gbie”, to znaczy znakomicie naśladował świergot jaskółek, gruchanie gołębi, prykanie jeża, ryk byka. Okazał się utalentowanym śpiewakiem i nie mniej utalentowanym gawędziarzem. Jego gawęda „O starzyku, który przy pomocy starego samolotu przepędził z hali złodziej owiec”, wspierana w odpowiednich momentach rzeczona „grą na gbie”, świadczyła dodatkowo o nieprzeciętnych zdolnościach aktorskich Brody.

Dodatkową atrakcją festiwalu były liczne imprezy towarzyszące, jak koncerty kapel w Puławach i w Lublinie, wielki kiermasz wytworów sztuki ludowej na rynku w Kazimierzu, pokazy garncearstwa, kowalstwa i wycinankarstwa artystycznego, wieczór ludowej poezji w wykonaniu aktorów Teatru im. Osterwy, no i wielka zabawa taneczna pod gołym niebem, trwająca do późnej nocy. Koncert laureatów został poprzedzony korowodem wszystkich kapel i solistów przybyłych do Kazimierza, konferansjerką

prowadził tradycyjnie Wojciech Siemion, szumiały kamery filmowe i telewizyjne, trasał aparaty fotoreporterów. Z najbliższej okolicy, z Puław, Warszawy i Lublina przybyły tłumy publiczności. Pogoda dopisała jak nigdy dotąd.

Można by więc VI Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu uznać za udany. Po raz któryś jednak ta ciekawa skądinąd impreza jawi się w wymiarze rozbrajająco prowincjonalnym.

Czy doprawdy, po pięcioletnich doświadczeniach, organizatorów nie stać na zapewnienie większej liczby miejsc siedzących poza kilku setkami, podczas gdy liczba publiczności sięga tysięcy? Czy zespoły oczekujące za estradą na swoją kolejkę muszą poniewierać się w pyle, bez jednej ławki, bez jednego krzesła? Czy nie można zapewnić więcej niż tylko dwie kolumny głośnikowe, tak że z odległości kilkudziesięciu metrów do sceny nie słychać nie tylko solistów, ale również kapel? Czy Kazimierz po kres swego istnienia będzie brudny, niechlujny i fatalnie zaopatrzony? Czy naprawdę do niczyjej wyobraźni nie dochodzi, że atmosfera cechująca kazimierzowski festiwal, atmosfera życzliwości i zaangażowania (zespołów i publiczności — oczywiście) kiedyś się wreszcie wypali jeżeli nie będzie otrzymywała odpowiedniej pomocy w postaci zapewnienia ludziom elementarnych wygód?

Może warto się zastanowić nad tymi kilkoma pytaniami już teraz, zanim okaże się, że kolejny, VII festiwal znów zaskoczy zarówno organizatorów, jak i władze miejskie?

Miroslaw Derecki

POTYCZKI JĘZYKOWE

Jak trzymać kciuki?

PRZYJAM się, że nie wiem. Kciuki — to liczba mnoga, należy więc trzymać oba. Ale jak? Czy owinąć jeden koło drugiego? Czy czterema palcami prawej ręki trzymać kciuk lewej, a jednocześnie palcami lewej kciuk prawej? Doprawdy nie wiem i wiedzieć nie chcę. Natomiast wiem, że nie cierpię tego powiedzenia, które ogranicza się tylko do słów a nie do czynności, a które ma rzekomo przynieść komuś szczęście. Nie dlatego, że bym był uczulony na przesady. Nieraz sam używam zwrotu „odpuść w nie heblowane drzewo”, który podobnie nie ma sensu jak to trzymanie kciuków, ale wydaje mi się mniej idiotyczne. Samo pukanie jest czymś szlachetniejszym od trzymania. Pukajcie, a będzie wam otworzone — to pachnie biblią — idealizmem. A

beat us qui tenet — szczęśliwy, kto trzyma, kto posiada — to przecież materializm, praktycyzm. Ale żarty na bok. Po prostu trzymanie kciuków mnie lrytuje, choć sam przez się zwrot ten nie jest błędem językowym.

Ale jest inne wyrażenie, które mnie swą płaskością wprost przynęca. Jeśli kciuki wchodzi w dziedzinę magii, to w tym drugim przypadku wkraczamy w dziedzinę ichtiologii. Może z początku, kiedy wyrażenie było jeszcze świeże, nie nadużywane w tym stopniu, co dzisiaj, mogło ono być zabawne. To przedłużanie sylaby mającej wyobrazić wielkość ryby, tym większą, im bardziej samogłoskę ciągniemy: taaka ryba! Graficznie możemy dodając litery powodować coraz większy ciężar: taakaaki jesiotr waży kilkadziesiąt kilo! Ludzie,

„BIBLIOTEKA POETÓW”

Z WYKŁO się uważać, że wieś niezbyt chętnie czyta poezję. Jeszcze Mickiewicz, Kopciński — ale Przybóś, Gałczyński, Iwaszkiewicz czy Baczyński? A jednak inicjatywa podjęta w roku 1967 przez ZG ZMW, redakcję „Nowej Wsi” i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, polegająca na utworzeniu „Biblioteki Poetów” w wyraźny sposób udowodniła, że dobra poezja, w tym również współczesna, znajduje wielu odbiorców na wsi, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Czyż nie jest to swoliste „signum temporis”, że wśród około 5 tys. stałych prenumeratorów „Biblioteki Poetów” większość stanowią młodzi rolnicy? Oczywiście wśród tej pokaźnej gromady miłośników poezji nie brakuje większych nauczycieli, lekarzy, agronomów — zresztą podzielić to wydają się anachronizmem, wobec przemian zachodzących na wsi.

Jakie są założenia „Biblioteki Poetów”? Otóż wydawcy dostarczają chętnym co miesiąc tomik poezji, po uprzednim zaabonowaniu serii rocznej lub półrocznej w cenie 10 złotych za jedną pozycję. Oczywiście niska cena stanowi niewątpliwą zachętę. LSW „wychodzi jednak na swoje”, skoro wydaje tomiki w sta-

rannym opracowaniu graficznym, z portretem autora. Tomik jest oprawiony w plastikową okładkę. Nad właściwym doбором autorów czuwa komitet redakcyjny pod przewodnictwem prof. dr. Jana Zygmunta Jakubowskiego, zaś rozprawdzeniem zajmuje się Powożna Księgarnia Wysyłkowa. Każdy tomik oprócz wybranych wierszy zawiera też wstęp napisany przez samego autora lub znawcę poezji.

Tak więc za 120 zł rocznie można w ciągu kilku lat stworzyć pokaźną biblioteczkę poezji. Biblioteka obejmuje nie tylko poetów polskich, ale też wybitnych klasyków i poetów współczesnych rangi światowej. W drugim półroczu br. abonenci „Biblioteki Poetów” otrzymają kolejno utwory Leca, Jana Lemańskiego, Jerzego Lieberta i Włodzimierza Majakowskiego.

W pierwszym półroczu br. ukazały się tomy wierszy: Zbigniewa Herberta, Safony, Anny Świrczyńskiej, Władysława Syrokomli, Szymona Szymonowicza i Adama Wazyka.

Należy dodać, że tomów „Biblioteki Poetów” nie można nabyć w księgarniach. Ci wszyscy, którzy pragną je nabyć, powinni napisać do Powożnej Księgarni Wysyłkowej w Warszawie, ul. Nowolipie 4, za gotówkę (120 złotych) przesłać na konto PKO Warszawa, nr 153-6-900021 z dopiskiem „Biblioteka Poetów”. Kto się pośpieszy i dokona tego do końca września br., otrzyma cały tegoroczny zestaw „Biblioteki Poetów”.

Dokończenie ze str. 3

ników zaangażowanych, więcej — z pasją twórczą, którzy niczym innym jak tylko wynikiem swojej pracy będą pokonywać „teoretycznych przeciwników” czy „konkurentów”. Dobry naukowiec powinien przyciągać innego dobrego, aby w szlachetnej rywalizacji każdy mógł wykazać swoją prawdziwą wartość. W nauce i chyba nie tylko tu, zastój jest wrogiem postępu. Ludzie porastają mchem, bo jest im dobrze i zamiast tworzyć nowe wartości, walczą o dalszy postęp, zadowolają się odcinaniem kuponów. Trzeba umiejętnie przelamywać pewne tradycje, związane z niewłaściwym rozumieniem roli autorytetu naukowca-wychowawcy, piastu-

Czas na rozwój jakościowy

jącego wysokie stanowiska, posiadającego wysokie stopnie i tytuły. Paraliż, jaki tworzący między innymi w argumentacji w sporach z takimi osobami, niweczy niekiedy możliwości osiągnięcia właściwych celów naukowych i dydaktycznych. Przewyciężenie tego,

niestety nierzadko występującego zjawiska, świadczyłoby o wielkim postępie wychowawczym i powstaniu atmosfery uniwersyteckiej dojrzałości intelektualnej. Opowiadamy się w Komitecie Uczelnianym za immunizacją wypowiadających młodzieży.

— Jeżeli chcemy zahamować ekstensywny rozwój UMCS na rzecz rozwoju jakościowego, to trzeba — jak sądzę — dokonać jakiegoś selektywnego wyboru pewnych dziedzin, które będą preferowane?

— Tak, badamy właśnie, jakie kierunki będą nam najbardziej potrzebne i w jakich możemy liczyć na osiągnięcia już nie tylko w skali krajowej, ale i międzynarodowej. Takimi kierunkami, zresztą już i teraz wyróżniającymi się, są np. filozofia marksistowska, mikrobiologia, badania nad przeszłością Lu-

belszczyzny, a zwłaszcza nad powstawaniem tu władzy ludowej, historia ruchu robotniczego, fizyka jądrowa i ciała stałego, chemia — zwłaszcza w zakresie odczynników chemicznych czy chromatografii, matematyka i rusycystyka. Szanse rozwoju mają naturalnie i inne dyscypliny, a rozwój wszystkich zależy od ostatecznego przełamania izolacjonizmu niektórych jednostek naukowo-organizacyjnych.

W wyniku współpracy z największymi zakładami Lubelszczyzny instytutu UMCS opracowały w ostatnim okresie 150 zleconych tematów. Jestem przekonany, że teraz zakres tej współpracy będzie jeszcze większy z korzyścią dla obu stron.

Rozm. jd

Dokończenie ze str. 3

rolnictwa jest nieunikniona, bez niej trudno sobie wyobrazić wyższe plony. Rzecz tylko w tym, aby odpowiednich środków chemicznych używać w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób. I tu kładzie się duży nacisk na stosowanie brzydg specjalistycznych, rolnik indywidualny nie zna bowiem działania środków, których używa, nie wie kiedy je stosować i jak, nie posiada też odpowiednich narzędzi, maszyn i odzieży ochronnej. Zresztą i przemysł chemiczny jest pod silną presją, aby wnikliwie badał, jakie skutki mogą wywołać produkowane przez niego środki. Chodzi także o to, aby pewne związki chemiczne nie kumulowały się nie tylko w produkcie, ale i w organizmie człowieka. Stąd również powiązanie tych trzech dziedzin na Kongresie.

Zdrowie człowieka to też nie tylko medycyna. Przecież często lekarz nie stosuje specyfików chemicznych czy jakichś zabiegów, ale zaleca dietę. A każdy pokarm źle wykonany lub z zatrutego produktu odbija się na zdrowiu konsumenta-pacjenta.

— W ochronie środowiska ma Pan Profesor piękne efekty do zanotowania; mniej na Lubelszczyźnie znana sprawa rekultywacji gleby oraz ochrona przed erozją.

— Współpracuję z tarnobrzeskim kombinatem „Siarkopol” i prowadzę w tym rejonie zabiegi celem rekultywacji terenów, zniszc-

zonych w związku z kopalnią i produkcją siarki. Dziś, po pięciu latach, roślin tam las nawet piękniejszy i zdrowszy niż normalnie. W kombinacie wytwarza się kwasy siarkowy i fosforowy, wytwarza się też siarkowodor. Ale — z wyjątkiem awarii — to nie są groźne zjawiska. Groźne są związki fluoru, które w najbliższej okolicy 5-6 razy przekraczają normę. Te związki kumulują się i w ziemi i w organizmach ludzkich, a jaki będzie tego wynik, nikt dzisiaj nie wie. Były już projekty, aby tamtejsi rolnicy sprzedawali swoje produkty w inne rejony kraju, gdzie związki fluoru będą działały pozytywnie, a tu miano by sprowadzać produkty z zewnątrz. Ale to przecież nierealne. Medycyna nie jest tym zachwycona, ale co będzie, zobaczymy dopiero za jakieś dziesięć lat.

W ochronie środowiska niebagatelna, ważną rolę odgrywa ochrona gleby — przed erozją, złymi warunkami wilgoci, nadmierną ilością środków chemicznych. Wody coraz bardziej brakuje na całym świecie. W Polsce na jednego mieszkańca — mówię z pamięci — mamy 4 tysiące metrów sześć. Wody płynącej rocznie, podczas gdy przeciętna w Europie wynosi 7-8 tysięcy, a w krajach górzystych znacznie więcej. My budujemy dużo zbiorników wodnych, ale wciąż jeszcze jest ich zbyt mało i w czasie większych opadów. Jak na początku lipca, widzimy np. w Wiśle wodę mętną, żółtą, co oznacza jej zanieczyszczenie mechaniczne glebą. Woda w górach i na wyżynach zmywa glebę. Wprawdzie PZU płaci za straty pól, ale nie może płacić za stratę gleby i brak pól w latach następnych. Tymczasem prowadzimy

Są możliwości trzeba działać

bardzo mało zabiegów przeciwoerozyjnych. Swego czasu w Sudetach zaczęto pastwiska na stokach zamieniać na pola uprawne. Nie walczono jednak z erozją, woda porwała urodzajną glebę i dziś mamy tam po prostu martwe pola. A do tego braku wody i mechanicznego zanieczyszczenia rzek glebą oraz chemicznego zawartymi w niej związkami dołącza się potężna dawka zanieczyszczeń przez przemysł. To się dzieje na całym świecie, chociaż u nas ostatnio wydano ostrą walkę zanieczyszczeniu przez przemysł.

— Pisałem niedawno w „Kamieniu”, że właściciel z Renu można by zrobić całą kopalnię i fabrykę cennyh surowców.

— Chyba z Odry i Wisły także, chociaż w naszych rzekach jest znacznie mniej zanieczyszczeń, a ich wydobywanie jednak nieopłacalne. Ale nawadnianie gleby taką wodą jest szkodliwe, może być nawet niebezpieczne. Co innego jeżeli chodzi o ścieki komunalne, co się robi np. w okolicach Lublina

lub w dolinie Neru, gdzie dzięki temu plony siano wzrosły niepomniernie. Ścieki takie zawierają dużo azotu, fosforu i potasu, jednak sprawa pogarsza się wraz ze spływem do tych ścieków coraz większych ilości środków piorących.

— Woda wodociągowa w wielu miastach jest już bardzo zła, a będzie raczej coraz gorsza. No więc co dalej?

— Na całym świecie wielkie miasta starają się przejść na czerpanie wody pitnej ze zbiorników, bo rzeczna jest rzeczywiście coraz mniej przydatna. U nas ze zbiornika koryzta np. Bielsko-Biała, czeka to niedługo Kraków, a w przyszłości i inne miasta. Ale budując zbiorniki wodne, musimy zabezpieczyć zbroca, którymi spływa woda, przed erozją. Wiadomo np., że do zbiornika w Rańkowie spływa rocznie do dwóch milionów ton ziemi, piasku, żwiru.

Na Lubelszczyźnie nie jest jeszcze najgorzej. Niestety, gdzieś przed dwudziestu laty zlikwidowaliśmy wszystkie młyny wodne, a wraz z nimi istniejące obok zbiorniki, w konsekwencji zniszczyła się także część stawów rybnych. Odtworzenie dawnego stanu technicznie nie jest takie trudne, rzecz w tym, że może zabraknąć wody. Trzeba jednak, abyśmy znacznie większą niż dotychczas uwagę zwrócili na zabezpieczenie gleby przed erozją. Są już warunki i odpowiednie przepisy ogólnokrajowe, ma zostać sporządzona rejestracja wszystkich miejsc zagrożonych erozją — chodzi o to, aby do konkretnego działania droga nie była zbyt długa.

Rozm. jd

Z publicystyki 1940-1944

JEDNYM z błędów w podejmowaniu problemów związanych z twórczością okresu wojny było to, że zaczynano od ocen, a nie od ustalenia faktów i opracowania materiału (s. 30). Te słowa Zdzisława Jastrzębskiego, autora antologii, wyjaśniają powód, dla którego podjął się on prezentacji wybranych tekstów z konspiracyjnej publicystyki literackiej. W nauce o literaturze często mamy do czynienia z oporami w weryfikowaniu komentarzy subiektywnej — przez brak dystansu — krytyki studium szczegółowym historią literatury. By nie być gołosłownym przypomnę, że barok dopiero w naszych czasach doczekał się takiego, rehabilitującego zabiegu. W przypadku twórczości z lat 1939-1944 potrzeba konkretnych stereotypów jest tym bardziej widoczna, że *Wojenny głos młodych* — tragiczny to argument — był też głosem jedynym, gdyż niemal wszystkie aktywności (s. 31). Zdarzały się (...) powiązania wynikające z teorii aktywnej grupy dorosłych zabiegów o młodziź, o wykazanie się posiadaniem młodzieżowych komórek; udzielono np. pomocy w wydawaniu pisma, któregoś porcelano na samodzielność pod warunkiem wychodzenia pod firmą (s. 14). Te sprawy należy tłumaczyć jeszcze dzisiaj, a co dopiero mówić w sytuacji przed laty dwudziestu.

Se w niej (publicystyce — przyp. mój S. J. K.) również zagadnienia, które porastają nadal otwarte i warte rozwinięcia, jak choćby sprawa aktywności, bezpośredniości i dystansu, wzajemnych relacji między funkcją społeczną, patriotyczną i artystyczną itd. (s. 30). Tym właśnie śladem pragnie się posuwać niniejsze omówienie.

Materiał ułożony jest w dwóch cyklach: artykuły ogólne i programowe w pierwszym, a szkice i recenzje bieżącej twórczości wojennej w drugim. Artykuły uszeregowane są chronologicznie. Okazuje się, że recenzje konkretnych tomów zawierają wiele cennych, ogólnych sformułowań, wspaniale uzupełniających całościowe widzenie kultury w tym, nawet dla Polaków, wyjątkowym czasie. (Trudno np. o właściwe komplementy dla eseju Kazimierza Wyki napisanego w formie listu do K. K. Baczyńskiego.)

Zdzisław Jastrzębski zaznaczał, że ówczesnym kryterium najbardziej by odpowiadał klucz pokoleńowy; daje się to potwierdzić w lekturze, ale przyjęta zasada chronologiczna imituje przynajmniej (przy wyborze selektywnym) całokształt publicystyki kulturalnej pod okupacją.

Publicystyka konspiracyjna nawiązując do problemów, jakie uzewnętrzały się w okresie międzywojennym, rozpoczynała swoją penetrację od spraw najbardziej ogólnych. Tak np. w artykule programowym „Dziś i jutro” 1941 nr 2 czytamy: *Demokracja nie może być równaniem w dół; musi być wyrównaniem szans i pobudzeniem przez otwieranie możliwości. Elita nie może być w żaden sposób sztywna, zamknięta i wyodrębniona. Należy do niej przodownicy i właśnie z tej tylko racji, że przodują (s. 37).* W tym samym artykule spotykamy się z problemem alienacji ludzkich wytworów: *Prawdziwe i trwałe wypełnianie zadania, jakie stoi przed nami, polega na tym, by człowiek całkowicie zawiadnął swoimi nowymi narzędziami tworzenia i krzewienia kultury, którym dziś najczęściej służy niewolniczo. Mają się one stać własne i tylko narzędziami (s. 39).*

Zalecenia przyszłościowe, uzależnione od potrzeb aktualnych, nakładają literaturze zadania olbrzymie: *Jutro czekamy na zdrową, heroiczną (nie trzeba się takich słów wstydić!) literaturę, z dolną wywołaną z narodu zapas jego moralnych sił i zapał przy pracy konieczny w budowie WIELKIEJ POLSKI (s. 42).* Jednocześnie pamięć, jaką rolę przypisał literaturze system faszystowski, kazała uzupełnić powyższe zalecenie następująco: *Nie będziemy nie literaturze narzucali siłą, nie chcemy mnożyć błędów popełnianych przez państwa totalne (s. 42).* Korespondując z tym uzupełnieniem wypowiedź W. Bojarskiego: *Wyznajemy radość i afirmację życia — tego faktu cudownego, jedynego, niepowtarzalnego drugi raz w tym samym kształcie. A dalej: Nowa sztuka ma przed sobą setki formalnych kształtów i półkształtów, ale zasadniczo postawę tylko jedną. Nie chodzi tu przecież o tzw. sztukę «państwowotwórczą» — propagandową (s. 51).* O poszukiwaniu złotego środka między obowiązkami a prawami twórcy najpełniej chyba powie fragment następujący: *Problem polityki kulturalnej staje przede wszystkim w całej jasności biegunowych przeciwieństw liberalizmu, który zaleca powstrzymanie się od wszelkiej akcji, i totalizmu, wcale niekoniecznie tylko faszystowskiego, który pragnie uczynić wszystko, aby życie kulturalne «zorganizować» (s. 171).*

Osobną rolę w antologii, a zatem i w publicystyce konspiracyjnej, odgrywa sprawa publiczności literackiej. O. Kościła formułował to następująco: *W interesie poetów leży, aby ta elita była jak najliczniejsza, aby obejmowała najróżnorodniejsze warstwy narodu, wtedy bowiem nie oni ona charakteryzuje, literackiego areopagu (a mówiąc stylem mniej wzniosłym — «situs» krytyków, ferującą nieomylnie wyroki, hamującą swobodę twórczą). Stworzenie elity kulturalnej to problem kapitalny w literaturze, bo ta elita determinuje w pewnym stopniu poziom literackiej produkcji (s. 149).* Musiała sprawa odbiorcy zajmować poważne miejsce, skoro czytamy: *Tytuł — Widma, «Biblioteka Sztuki i Narodu» str. 25. Powielono 250 egzemplarzy (s. 234).* „Widma” Trzebińskiego uznawane są przez publicystów konspiracyjnych za jedno z największych wydarzeń literackich tamtego czasu, mimo że, jak widzimy, nakład był bardzo ograniczony. Warto przypomnieć, że obecnie nakłady debiutanckich tomików sięgają 1000 egzemplarzy, również bez względu na rolę autora w ruchu poetyckim... Aby zakończyć ze sprawą publiczności literackiej wydaje się istotne podkreślenie, iż wielokrotnie pojawia się na kartach antologii stwierdzenie: *«Jaki słuchacz taki wieszcz»...*

Cykl drugi poświęcony jest w całości omówieniom wojennej twórczości. Autorzy recenzji piszą bezparadonowo, ostro. Do dzisiaj (a może lepiej: dzisiaj) są to wypowiedzi traktowane bardzo kontrowersyjnie. Tak np. drukowana w antologii wypowiedź Gajcego na temat twórczości poetów zgrupowanych wokół „Skamandra” stanowiła punkt wyjścia długiej dyskusji, rozpalanej przez Artura Sandaure’a kilka lat temu. Publicyści wykrywali nawet najmniejsze wady z myślą o powstaniu dzieł wartościowych. Pisanie traktowali bowiem jako jeszcze jedną formę walki, kto wie czy nie cenniejszą perspektywicznie od walki zbrojnej.

Jej (młodziż — przyp. mój S. J. K.) publicystyka była bardziej dynamiczna i pod względem dużej części żywiołowości, i w tym sensie, iż jest to niej więcej poszukiwania, procesu myślenia niż wykładania gotowych poglądów — pisał Zdzisław Jastrzębski. Nie doczekał się ukazania antologii. Pozostaną jednak jego dokonania, by pobudzić do myślenia i poznawania.

Stanisław Jan Królik

* Konspiracyjna publicystyka literacka, 1940-1944. Antologia, Oprac. i wstępem poprzedził Zdzisław Jastrzębski. Kraków 1973. Wydawnictwo Literackie s. 288.

Szyrogram literacki nr 16

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce liczb przemieścić odpowiednie im litery. Pojedyncze czarne kratki odpowiadają przerwom między słowami, podwójne przerwom między wierszami. Rozwiązaniem będzie początek wiersza poety lubeckiego lat międzywojennych.

Odwaga — 59, 69, 42, 39, 51. Moment zwrotny — 18, 3, 36, 5, 181, 24, 38. Słonica państwa w Azji — 23, 15, 27, 45, 64. Rycerz walczący, Indianin — 13, 78, 28, 37, 57, 46, 84, 76. Zespół śpiewaczy — 29, 11, 34, 84. Zakładowa jadalnia — 94, 63, 52, 29, 12, 6, 52, 47. Królewska oznaka władzy — 57, 96, 68, 89, 61, 182. Polski satyryk z XIX wieku — 85, 2, 81, 199, 24. Nauka o zwierzętach — 4, 42, 67, 44, 75, 23, 7, 29. Podziemne części roślin — 16, 26, 9, 22, 54, 85, 71, 8. Broń z cieciewa — 43, 55, 58. Partnerka Ramea — 14, 83, 59, 55, 54. Ma prawo tylko odychać — 91, 57, 51, 57, 16. Dramat muzyczny — 69, 35, 98, 21, 77. Człowiek — 66, 62, 48. Imię autora cytowanego tekstu — 82, 15, 25, 72, 31, 17, 85; jego nazwisko — 96, 74, 78, 49, 23, 65, 32, 41, 38.

Rozwiązaniem można nadsyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy nagrody — bony książkowe.

Rozwiązaniem szyrogramu z nr 12 był fragment wiersza Władysława Broniewskiego: „Kłaniam się rosyjskiej rewolucji czapka do ziemi, po polsku.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24			
25	26	27	28	29	30		31		32	33	34	35	
36	37	38	39	40		41	42	43	44	45	46	47	
48	49	50	51	52	53	54			55		56	57	
58	59	60	61	62		63	64	65		66	67	68	69
70	71	72	73	74		75	76	77			78	79	
80	81		82	83	84	85	86		87	88	89	90	91
	92	93		94	95	96	97	98		99	100	101	102

radzieckiej sprawie, sprawie ludzkiej, robotnikom, chłopom i wojsku”
ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14
POZIOMO: Familia, aspekt, ruada, tenor, zator, Ottom, Tazara, otoso, nok, Kleopatra, lej, draga, kpina, Klara, Hunt, ucho, manko, seriz, Lbasa, piark, Katalia, kurenda, mazak, kowal, karez, salto, Sara, skaz, Assab, obuch, knaga, rak, Antonioni, Tot, dural, Odeon, otawa, orant, koksa, Galen, tam-tam, Niagara.
PIONOWO: Frolenda, autor, Matka, ido, lanka, Artek, koran, szpak, par, etola.

koser, trojak, Ezop, Sapieha, rata, genitalia, Leninakan, bekas, uraza, trakt, uik, Chaos, Oskar, apeka, kadra, oracz, aula, warunek, Hardot, katana, Saura, Skram, Balta, otok, bodor, cios, Honan, Kloga, Atala, Gower.
 Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 14 nagrody wylosowali: Bohdan Bieńkowski, Lublin, ul. Droga Mezc, Majdanka 13 m. 1; Maria Szklarczyk, Szpital Powiatowy we Włodawie; Paweł Zawisz, Włodawa, Al. Wyzwolenia 56; Tadeusz Uljasz, Lublin, Al. PKWN 4/69.

Struktura emocjonalna a społeczna adaptacja

— uważa je za nieistotne. Ma halucynacje słuchowe — słyszy głos narzeczony-lekarza, który pracuje w szpitalu, może z nim rozmawiać na odległość, porozumiewać się przy pomocy myśli. Ustalono już datę ślubu. Zaplanowano przyszłość. Kalendarz zostało wyparte ze świadomości, a marzenia zrealizowane w patologicznych przeżyciach. Układ emocyjny przystosował człowieka do życia przy patologii. Człowiek na nie prosi o leczenie — nie uważa się za chorą, jest przecież szczęśli-

wa. Tymczasem rodzina, społeczeństwo, lekarze uważają, że trzeba ją leczyć. Zgodnie z wiedzą i sumieniem.
 Współczesna psychofarmakologia czyni nieustające postępy. Podając leki neuroleptyczne, szybko usuwamy objawy reakcji kompensacyjnej. Zauważamy człowieka ze świata psychicznej patologii do rzeczywistości. Do rzeczywistości chodzącej o kulach z oszpeconą twarzą. Bez narzeczony, bez przyszłości. Działamy w oparciu o wiedzę, w imię nauki.
 Mogłoby ktoś powiedzieć, że szczególnie drugi przykład jest nie

częstym przypadkiem. Tak, to prawda, jednak dla jednostki ludzkiej nie ma „rzadkich przypadków”, jej świat przeżyć jest światem największym.

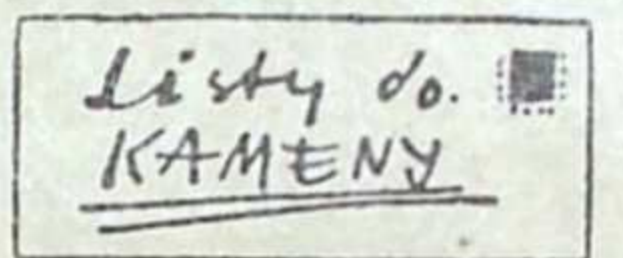
W obu przytoczonych przykładach emocjonalna struktura utrudniała lub uniemożliwiała przystosowanie społeczne. Utrudniała zdrowemu psychicznie człowiekowi, uniemożliwiała przez wystąpienie reakcji patologicznej.

W obu przytoczonych przykładach wprowadzenie związków chemicznych do organizmu dawało efekt pozytywny: w pierwszym przykładzie umożliwiała przystosowanie społeczne, w drugim usuwała objawy choroby psychicznej.

W obu przytoczonych przykładach związki farmakologiczne działały szkodliwie z punktu widzenia jednostki. W pierwszym zmniejszyły nadmiernie rozwinięte życie uczuciowe, w drugim powracały do rzeczywistości tragicznej, niosącej tylko cierpienie.

Perspektywy rozwoju psychofarmakologii pozwalają przypuszczać, że możliwość przekształcania psychicznych cech człowieka stanie się rzeczywistością. Jakie będą wskazania do tego rodzaju zmian i jaka będzie odpowiedzialność za ingerencję w strukturę psychiczną jednostki, która stanowi świat przeżyć, jak do tej pory pozostający na jej własny użytek?

Adam Majczak



Autobusem po pensje?

Zmiany, jakie zaistniały po podziale administracyjnym wsi (stworzenie urzędów gminnych), podobno wiele usprawniły, ulepszyły itp. Skoro tak, dlaczego wielu pracowników państwowych i urzędowych wsi w Dębowej Kłodzie musi jeździć po pobory placąc za przejazd z własnej kieszeni? Czy nie można by na przykład zatrudnić kasjera, który załatwiałby te sprawy?

Stanisław Sterlus
Kodeniec pow. parczewski

Kryteria wydawnicze

Jakie kryteria musi spełniać maszynopis książki, aby wzbudzić zainteresowanie wydawnictwa w mieście wojewódzkim? Zgodnie z reformą krajowych instytucji wydawniczych, podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki, maszynopis taki powinien być autoryzowany przez lokalnego pisarza i wiązać się tematycznie z danym terenem. Inaczej mówiąc: jeśli dziś Kazimierz Braun chciałby opublikować w Lublinie swoje interesujące eseje o Norwidzie, miałby spore kłopoty i prawdopodobnie zostałby odesłany do PWN, albo do... jakiegoś władczego dyrektora departamentu, który udzieliłby mu dyspensy.

Takie są skutki rejonizacji wydawnictwa, przeprowadzonej ze złotej ręki: szczybla — bez leczenia się z interesami lokalnych środowisk twórczych, bez leczenia się z dobrem kultury miast oddalonych od stolicy. Nie wiem, czy Naczelny Zarząd Wydawnictwa odaje sobie sprawę, że w latach siedemdziesiątych lansuje dziełostawotwóczy model regionalizmu, przy okazji pozabawiając wspomnianą wydawnictwa jakiejkolwiek możliwości aktywizowania środowisk twórczych, uprawiania obrzędowej polityki. A już absurdem traci wprowadzenie zasady rentowności każdej pozycji wydawniczej — takie bowiem zasady mogą obniżać wartość handlu piętuszką, lecz nie na terenie kultury, szczególnie zaś — kultury socjalistycznej. Gdyby zastosować tę regułę we wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej, już jutro należałoby zamknąć kilka, a może wszystkie teatry w Polsce: dramatyczne i operowe.

Janusz Galiński
Chelm Lub.

Nauczycielska kanikuła

Jestem nauczycielem szkoły podstawowej. Pracuję ciężko, jak każdy nauczyciel. Z ulgą witam wakacje. Tegoroczne jednak przygotowałem z mieszanym uczuciem, abowiem to przedział opuszczenia murów szkolnych otrzymałem do badania czasu wolnego i zajętego nauczyciela w czasie ferii letnich”, opracowany przez Instytut Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie. „Dzienniczek” okazał się dużą plachtą o wymiarach 60 na 40 cm, drobno pokratkowaną i zaopatrzoną w rubryki z takimi hasłami: sen, higieny osobista, pielęgnowanie małych dzieci i osób chorych, inwentaryzacja (i), kore-

potęje, zarobkowa praca fizyczna, udział w czynach społecznych, czytanie książek, uprawianie sportu, leżakowanie i plażowanie, inne. W sumie było tych rubryk 51. Każda z ich należało wypełniać codziennie (przez dwa miesiące), wpisując ilość czasu, jaki poświęciło się na poszczególne czynności. Podsumowanie tych zapisów powinno dać liczbę 24, jako że doba ma tyle godzin, a nauczyciel przez cały ten czas kontroluje swoje zachowanie, wie co robi etc. Autorzy „Dzienniczka” przepraszają nauczycieli-respondentów za nadużycie uprzejmości, lecz zarazem poczują, że to blaha historia, co najwyżej 10 minut dziennie zabierze wypełnianie ankiety.

Nie kwestionuję potrzeby badań socjologicznych, szczególnie powątpiewam w sensowność społecznej i naukowej (i) niejedności z nich; nikt mnie nie przekona, że robienie doktoratu na temat gry w pałanta posiada jakikolwiek uzasadnienie. Ale „Dzienniczka” nie wypełnić, ponieważ dość mam ciągłej samoobserwacji i samokontroli podczas roku szkolnego! W wakacje mam ochotę odprężyć się, a nawet — o zgrozo! — poużyłkować się nieco. A takiej rubryki w „Dzienniczku” nie znalazłem.

A. W.

Uprozczone stanie

Podobno uproszczono procedurę wyjazdów zagranicznych. Można, nie po podróżnym stanie, to kolejce placówki PTK przy ul. Kollataja w Lublinie, w celu zakupu marek NRD, mam co do tego poważne wątpliwości. Tym bardziej, że kolejka składała się raptem z czterech osób! Kiedy są dotarłam do kasy i kierując się informacją prasową na temat wysokości wymiarów złotych na marki podobno nieograniczoną, poprosiłem o 200 marek, dodając dwa słowa o nowym zarządzeniu, pani urzędniczka powiedziała, że to, co prasa pisze, to nieprawda, kasa dziennikarska, że ani oni, ani bank lubecki nie na ten temat nie wiedzą. Kto ma rację?

Maria Piwocka
Lublin

OD REDAKCJI. Według wyjaśnienia Narodowego Banku Polskiego w Lublinie to dalszym ciągu obowiązują 100-markowa norma wymiaru. Informacja prasowa, dopuszczająca możliwość odmiennej interpretacji została na drugi dzień po publikacji uściślona na łamach tej samej gazety.

Konkurs fotograficzny

Muzeum Ziemi Zamojskiej, Podkomisja Fotografii ZO PTTK w Zamościu, Zamojskie Towarzystwo Fotograficzne organizują V Ogólnopolską Wystawę Fotografii Krajowopowowej „Zabytki”. Ma ona na celu pokazanie najciekawszych zabytków polskiego budownictwa, architektury, wytworów rzemiosła artystycznego itp., oraz zachęcenie do poznawania kraju ojczystego i jego historii.
 W wystawie mogą brać udział wszyscy fotografujący. Każdy autor może nadać do 10 prac w formatach: od 30x40 cm do 48x58 cm. Termin przyjmowania prac upływa 30 września 1973 r. Szczegółowe warunki konkursu można uzyskać w Zarządzie Oddziału PTTK, pl. Mickiewicza 13 — Batuz, 22-404 Zamość.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

- PSYCHOLOGIA**
 Stanisław Gerstmann: Psychologia na codzień. KIW 1973 s. 366, zł. 36.—
 Rajmund Kowalczyk: Psychologia w pracy z ludźmi. Wyd. 2. Instyt. Wydawn. CRZZ 1973 s. 179, zł. 18.—
 Kazimierz Pospiszyły: Wadliwe postawy społeczne młodzieży. PWN 1973 s. 28, zł. 17.—
 Andrzej Janczewski: Erotyzm dzieci i młodzieży. PWN 1973 s. 223, zł. 36.—
- NAUKA O LITERATURZE**
 Naly słownik pisarzy niemieckich, austriackich i szwajcarskich. Wydawn. Wiedza Powszechna 1973 s. 467, zł. 56.—
 Pierwszy w naszej literaturze słownik teatrolubnych portretami pisarzy. Feliksa Lichodziejewska: Twórczość Władysława Broniewskiego. Monografia bibliograficzna. PIW 1973 s. 694, zł. 128.—
- Fundamentalne dzieło do studiów nad bioografią i twórczością wybitnego poety. Michał Kun: Stanisław Czernik. Życie i twórczość. Bibliografia. Wyd. Pow. i Miejska Biblioteka Publ. w Ostreszowie 1973, s. 237, zł. 29.—
 Mieczysław Jastrun: Eseje. PIW 1973 s. 551, zł. 56.—
 Najobszerniejszy jak dotychczas wybór prac znanego poety i autora licznych studiów historyczno-literackich oraz filozoficznych.
- REPORTAŻ**
 Ela i Andrzej Banachowicz: Cztery tygodnie w Japonii. Wydawn. Literackie 1973 s. 379, zł. 76.—
 Jolanta Klimowicz: Moje Chile. KIW 1973 s. 288, zł. 22.—
 Michał Szulczewski: Kubąskie spotkania. Wydawn. MON 1973 s. 143, zł. 16.—
 Jacek Woźniakowski: Zapiski kanadyjskie. Wydawn. Iskry 1973 s. 311, zł. 18.—

»KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie. Kolegium Redakcyjne, oraz MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 12 zł, półrocznie 26 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatów RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę w wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatów, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę za zagranicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 50-340 Warszawa, konto PKO 1-4-186024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Unicka 4.

Numer temat: MIECZYSLAW PSUEK

Adres redakcji: 26-816 Lublin, ul. Narutowicza 35
 Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 253-82, sekretarz redakcji i dział publicystyki 273-35

Korespondencje swykie prosimy kierować pod adresem: 26-830 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LEGraf. Zam. 1844, 25.VII.73, 14.339. G-4.

SŁOWO SIĘ RZEKŁO...
Niejeden mówca czasem ma trochę
słowo się rzekło — pomyłka
u plotu...

MASKA I SMAK
„Maskować” i „smakować” —
dwa podobne słowa...
Często więc ktoś to maskuje,
co naprawdę mu smakuje...

FRASZKI

DOBRODUSZNA REFLEKSJA
Najpotrzebniejsza z krucjat:
zawiści w sercu zmóc jad!

Witold Zechenter

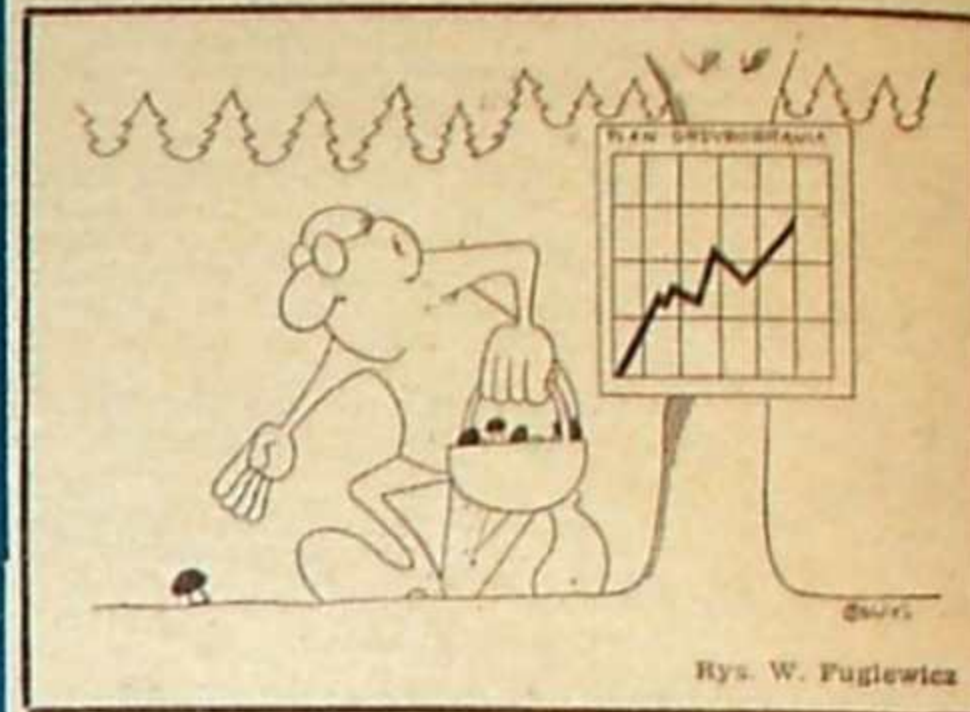
MODNA BEZSENNOSC

Wyśpi się smacznie przy telewizorze,
a potem w nocy zasnąć nie może.

GDYBY DZIŚ PAPIK SPIEWAŁ...
„Kot, kot, pani matko...”
A. FREDRO: „Zemsta”.
Kod, kod, pani Poczo,
kod, kod
narobil nam przy adresach
kłopot...



Rys. W. Fuglewicz



Rys. W. Fuglewicz

Urlopowo

JUTRO rano wyjeżdżam
nareszcie na urlop. A
właśnie po co? Gdy
piszę te słowa, deszcz
miarowo uderza o szy-
by. Dzisiaj, tak jak wczoraj,
wczoraj jak przedwczoraj,
Sielanka.

W Lublinie pustki. Takie pustki,
że aż żal go opuszczać. W skle-
pach kupuję bez kolejki, bilet na-
wet na najbardziej atrakcyjny
film dostaję bez żadnej pro-
tekcji, w autobusach MPK
mogę tańczyć obertasa, w restau-
racjach — jeśli tylko nie są zare-

zerwowane dla wycieczek — kel-
nerzy w pas mi się kłaniają i z
wielką atencją do stołu prowadzą.
Żyć nie umierać!

Tylko z taksówkami kłopot.
Trzech spośród sześciu kierowców,
z którymi ostatnio rozmawiałem,
wyjeżdża do Rumunii lub do Bul-
garii. Niektórzy urządzają się bar-
dzo sprytnie: biorą z sobą żonę, a
a tylnie siedzenie rezerwują dla
frajerów.

— Panie — powiedział do mnie
właściciel złotego „Flata” — tę
formę powinno się spopularyzo-
wać. Ja jadę na umowę, chce,
aby mi się zwróciła benzyna, a
także chodzi mi o to, abym w cza-
sie tej długiej trasy miał do kogo
gębę otworzyć. Żona nie będzie też
trudna, że tego czy tamtego w do-
mu nie ma; przy obcych stara
siedzi jak trusia! Klienci są za-
adowoleni, licznik nie bije, nie
muszą się wnerwiać, tu czy tam
możemy stanąć, jak się da — nieco
pohandlujemy, więcej świata
wspólnie zobaczymy. Fajnie jest.
A gdy się jeszcze trafi małżeń-
stwo, co w obcych językach
szwargocze. Ho, ho...

Ja tam nie frajer. Za tłumacza
służyć nie będę, po rumuńsku
słowa nie powiem. Po co mi to
zresztą? Jadę nad polskie morze.
Przez snobizm. I dla osobistej wy-
gody.

Jurek Dostajni wybiera się do
Mama i już dzisiaj pół świata
wydrwaniał, żeby dostać spyalne
bilety powrotne. A ja nigdzie nie
dzwonię, nawet miejscówki nie
mam. W 1949 roku nie tak się je-
dzdziło.

Jurek zjawi się nad tym Czarnym
Morzem, słońce będzie go
grażało piekielnie, żona pogoni go
na plażę, jeszcze uderu dostanie!
A ja wiem, że nad Bałtykiem
będzie pięknie lało, znaję kole-
siów, śladę do brydzyka i naresz-
cie solidnie odpocznę. Zjem hor-
malnego schaboszczaka z kapustą,
popiję piwkiem, a Jurek będzie
musiał zlopać do ohydne wińsko i
może jeszcze koniak „Zarec”, bo
takie tanie, że aż szkoda nie wy-
pić. A mnie nie skusi „Soplica”,
bo w takiej samej cenie dostanę
w Lublinie.

Jurek będzie musiał ze ściśnię-
tym sercem wywadać leje, będzie

nerwowo przeliczał, mnożył przez
dwa i jeszcze bardziej okwieje
przy tych rachunkach. A ja to
mam z głowy. Złoty w Lublinie,
złoty w Ustce znaczy to samo.
I z jakiej racji mam pomagać
w budowie drugiej Rumunii?

Więc nie tylko przez snobizm,
nie tylko dla osobistej wygody,
ale i z czysto patriotycznych po-
budek jadę nad to polskie morze.
Grosz zarobiony w Polsce — w
Polsce wydaję. Rodacy, bierzcie
ze mnie przykład! Ja mówię: —
Bez au, Pan kontruje? Partner
milczy? Rekontra!

Martwi mnie tylko jedno: a je-
śli, nie daj Boże, trafię na dobrą
pogodę? Jeśli z kolei moja żona
oderwie mnie od brydżowego
stółka?

Cóż wtedy? Posłucham w tele-
wizji Wicherka. A Wicherka
stwierdzi: „Nad Bałtykiem upal-
nie, na wschodzie Polski deszcz.
Klin niskiego ciśnienia nadcią-
ga...” Oblicze mi się rozjaśni,
wsładę w pociąg i z powrotem do
Lublina! Ale gdzie ja tu teraz
znaję brydżystów!

MAJ

minuta myślenia

Co z ludźmi?

PRZECZYTALEM artykuł
Marka Rymusko w
„Tygodniku Kultural-
nym” pt. „Mocni są
tylko w kupie”. Z niego
dowiedziałem się, że
istnieje w społeczeństwie pewien
odłam ludzi, którzy są przeciwni
ujawnianiu chuligaństwa, ponie-
waż to „godzi w tych, którzy
jeszcze nie zostali pobici. Lub zo-
stał pobity za mało. Zdumiałem
się nad logiką. Nie, nie tak wy-
powiadał. Ostatecznie nie żądam,
by zainteresowani składali jawne
informacje rzykując jutro tajne
pobite. Zdumiałem się nad logiką
tego stanu rzeczy. Do diabła! Do-
staniesz w szczęście i oko, zosta-
niesz skopany i obrzucony kamie-
niami, wiesz nawet przez kogo,
ale ani słowa o tym, ani ty —
dziennikarz — nie podasz do pu-

blicznej wiadomości, bo może być
jeszcze gorzej? Nie, to w Polsce
1973 staje się elementem społecz-
nego surrealizmu. Nie chce się
dać wiary, że jest to sytuacja
rzeczywista. Wygląda na wymy-
sioną przez Ionesco.

Rzeczywiście, niesamowicie i
milczenie, tuszowanie i środkiem
przewidywalności. Dostałeś, czo-
wisku, ale nie zwraca się z tym
do opinii publicznej, bo dosta-
niesz jeszcze więcej. Mimo że ist-
nieje władza porządkowa, istnieją
instytucje, gdzie pracują lub się
uczą chuligani, istnieje całe do-
rosłe społeczeństwo. Absurd, pur-
non-sens w najlepszym stylu.

Nie jestem socjologiem zaklado-
wym, socjologiem z pracowni nau-
kowej, socjologiem-chalupnikiem
wytworzącym sobie teorie
zjawisk społecznych na własny
użytek. Ale nawet gdybym nie był
obserwatorem życia z zaintereso-
waniem, to po prostu jako jego
świadka, choćby mimowolny, mu-
szę dojść do pewnych konstatacji.
I mój obraz sprawy wywołał się
z prostego założenia: dzieje się to
wszystko w naszym aktualnym
układzie społecznym, a nawet w
swej istocie ku szerze tych spraw
chuligaństwo jest skierowane, po-
nieważ chuligan to nie schizofre-
nik przezywający swój stan pa-
tologiczny w obrębie własnej psy-
che. A więc chuligaństwo — nie-
stety — jest jakąś jedną, jakąś z
funkcji naszego społecznego stanu
rzeczy. Chuligaństwo jako akt ir-
racjonalny, nie mający na celu
korzyści materialnych i o takiej
skali — jest zjawiskiem charakte-

rystycznym dla naszej współczes-
ności. Dlaczego? W czym rzecz?
Dla zbliżenia się do odpowiedzi
warto nawet podjąć ryzyko.

Wygląda na to, że jest ono po-
zyskiwaniem stylu życia na włas-
ny rachunek. Młodemu człowieko-
wi wydaje się zatrąca indywidual-
ności, jeśli będzie normalnym sy-
nem, normalnym uczniem, normal-
nym członkiem społeczeństwa.
Chce mieć placet dla dążenia do
niezwykłości (oczywiście prawie
zawsze mgliste słońce albo na opak
pomyślane) wśród swojego otocze-
nia, a ponieważ to nie następuje,
jako że proponowana postawa nie
może być przyjęta powszechnie —
narzuca ją terrorem. Zawsze się
znajdzie dwóch, trzech podobnie
„myślących” i gang gotowy. Wie-
dy w polu krytycznego spojrzenia,
a w końcu zdecydowanej agresji
znajduje się każdy, kto po prostu
się uczy, kto po prostu pracuje.
Bo, primo, podważa psychologicz-
ne racje chuligaństwa, secundo:
osiąga powodzenie w zwalczanych
kategorjach, a więc psuje teren
działania. Młody chuligan jest
(podświadomie) przekonany, że i
on byłby świetnym elektronikiem,
gdyby tylko się zgodził na ustalo-
ny przez starsze („zwapanie”) spo-
łeczny sposób postępowania.
Ale on jest „apostosem nowego
życia”, „ofiarnym bojownikiem
nowego stylu”, do „ideologicznej”
więc niechęć wobec rówieśników
osiągających powodzenie dołącza
osobistą nienawiść.

Nazywają siebie „ludzie”. To i
tak dobrze, że w samej nazwie
zachował się jakiś element huma-
nizmu. Ze dia tej wartości nie
utracił przynajmniej tak manife-
stowanego poszanowania. Może to
podsuwa jakąś płaszczyznę rozmowy?
Mała, ale wobec zawodności
innych metod warta zachodu? Może
chuligaństwo jako ujemne
zjawisko wśród młodzieży jest jak-
ś pochodną ujemnego zjawiska
występującego w społeczeństwie w
ogóle?

Cóż, parę niepodważalnych ko-
munatów w tej sprawie wypowie-
dzić jest nader łatwo. Pierwszy:
wpływać na powstanie nastrojów
chuligaństwa przeciwnych na te-
renie organizacji młodzieżowych.
Ale kto wie, czy w ten sposób nie
powstanie więcej faktów domaga-
jących się nowego krycia przed
opiniami publiczną? Drugi: zmoc-
nić działalność represyjną władz po-
rządkowych. Dobrze, ale to jest
środek ostateczny, a w słowniku
metod pedagogicznych słowo „ar-
gumentacja” znajduje się znacznie
wcześniej, niż słowo „zmuszanie”.
Nie jestem socjologiem, nie jestem
wychowawcą. Ale w końcu nie
wydaje mi się słuszną, by najmo-
cniejszy żywot w tej kwestii
miał sam paradoks.

Ijon

Odpowiedzi redakcji

T. T. Janów Lub. Musimy przyznać, że poczyniła Pani znaczne postę-
py. Wiersze stały się ciekawe, dojrzałe, istotniejsze. Mamy nadzieję, że
przejdzie czas na druk. Jednego tylko nie możemy spełnić: odpowiedzieć
taką recenzją, która by zawierała wszystkie wskazówki na temat dalsze-
go pisania. Jest zdumieniem młodego autora, że istnieje na świecie re-
dakcja, która takie wskazówki posiada. Nawet recenzja w ścisłym tego
słowa znaczeniu nie jest zbiorem pouczeń, ale czyni w rodzaju rozmowy
z autorem odbywanej w obecności czytelników. Zyczymy postępów i
czekamy na dalsze przesyłki.

R. S. Zamość. Owszem, w wierszach daje się zauważyć żywość i in-
wencja wyobraźni, ale brak jest jednego: zorganizowania. Odnoś się
wrażenie, że autor nie wypowiada się w pewnym kodzie (dawniej mówię-
ło się: konwencji), ale rzuca na papier sformułowania dość luźne, byle
tylko wystarczająco ekspresyjne. Ponieważ są to początki, nie widzimy
jeszcze powodów do alarmu, ale w przyszłości więcej trzeba będzie się

zastanawiać nad tym postulatami każdego twórcy, któremu na imię:
dyscyplina. W każdym razie widać, że wiersze powstają na rachunek
autora, nie są powtórzeniem czyichś „chwytów”, a to już sporo.

„Pomako!” Jaworzna. Nadesłane wiersze świadczą o bardzo jeszcze
niepewnych kontaktach z poezją. Trochę lepiej jest z „myślami pozbie-
ranymi”. Ale z tak niewielkiej ilości nie mogliśmy wybrać. Może
kiedyś przy większym wyborze... Gwarancji jednak dać nie możemy, bo
sami jej nie mamy.

K. C. Puławy. Wydaje się, że w tych wierszach za dużo jest ilustra-
cyjności. Np. „Burza” jest typowym utworem zamierzonym po to, by
namalować obraz. Obraz, kiedy jest przekątnikiem sytuacji lirycznej,
spełnia swoje zadanie. Natomiast jest szkodliwym dodatkiem, kiedy zo-
stał zamierzony jako ornament. Radzimy być bardziej egoistą. Mówić o
sobie, o swoich doznaniach, a nie o chmurach, jeśli te chmury nie chcą
wejść w świat przeżył autora, a tylko przed jego wzrok.

S. D. Radom. Ma Pan rację. W poezji należy kierować się intuicją, to
znaczy liczyć na te obszary świadomości, których eksploatacja daje na-
dzieję na oryginalność, na znalezienie własnej indywidualności. Ale na-
leży również przestrzegać tego, co nazywamy postulatami sprawdzalności,
bo w przeciwnym razie zaczęliśmy mówić wyjątkowo do siebie. Z wielu
poetów tego postulat nie przestrzega... Cóż, mówimy w swoim imieniu.

Noty i notki

Wydawało mi się dotychczas, że wiem, dlaczego w lubel-
skim MPK istnieć stanowisko dyrektora. Ale widocznie byłem
człowiekiem naiwnym i wierzyłem w pozory. Oto dowód. Klub
LSM zwrócił się do tegoż MPK (na piśmie, z pieczęcią i dwo-
mami podpisami) z prośbą o wypożyczenie autobusu celem prze-
wieżenia dzieci do Zwierzynca. Kierownik Wydziału Huchu
MPK napisał na tym podaniu własnoręcznie: „Wypożyczenie
nie wpłynie na zmniejszenie planowanej ilości wozów w ruchu
miejskim”. Teraz dyrektor MPK powinien wydać decyzję —
wypożyczyć — i na tym winien być koniec. Tymczasem w
praktyce podanie powędrowało najpierw do kierownika Wydziału
Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniczej PMRN, urzędującego
prawie 4 km od poprzedniego kierownika. Drugi kierownik
napisał na podaniu: „Do Ob. Przewodniczącego Prezydium
MRN. W oparciu o stanowisko MPK Wydział wnosí o wyrażenie
zgody”. Ale ponieważ przewodniczącego nie było, więc prze-
wodniczący po głębokim namyśle napisał wreszcie majęce
słowo: „Zgoda”. Chciałbym więc zapytać się publicznie: 1) po
kogo licha w MPK istnieć stanowisko dyrektora, 2) jaka twórcza
myśl lub troska o dobro mieszkańców Lublina wniósł do
sprawy kierownik Wydziału GKIM, 3) czy o wypożyczenie (za
pieniądze) jednego autobusu miał decydować przewodniczący
PMRN?

W ostatnim czasie jedenastu pracowników naukowych
UMCS złożyło podanie z prośbą o wyrażenie zgody swoich prze-
łożonych na przeniesienie się do innych ośrodków naukowych.
I to w sytuacji, gdy UMCS — jak mówi na innej stronie bieżą-
cego numeru „Kamień” sekretarz KU PZPR — cierpi na
dotkliwy brak takich właśnie pracowników. Ciekawe, czy i
kto zajmie się obiektywnym sprawdzeniem, dlaczego tak się
dzieje, że naukowcy chcą opuszczać nasze miasto — i jakie
kroki się podejmie, aby składowi takich podań zapobiec?

Czy mężczyzna może urodzić autobus? O ile się znam na me-
dycyynie — to nie. I takiego pytania nikt nie zadał dyżurnemu
ruchu na lubelskim dworcu PKS w dniu 10 lipca. Ale gdy po
godzinym a daremnym oczekiwaniu na autobus do Kielec pa-
sażerowie usiłowali dowiedzieć się, co się dzieje, dyżurny od-
powiedział zgodnie z prawami fizjologii: przecież autobusu nie
urodzi! Gratuluję mu znajomości praw natury, ubolewając
głęboko nad brakiem znajomości podstawowych zasad grzecz-
ności i zakresu swoich obowiązków.

„Ilustrowany Magazyn Turystyczny Światowid” w nr 773 za-
mieszcza obszerną informację pt. „Roztoczę — ziemia nieznaną”,
ilustrując ją czterema kolorowymi zdjęciami. A mogło być na
temat znacznie więcej i dokładniej. Okazuje się jednak, że
nasze Roztoczę jest „ziemia nieznaną” także niektórym instytu-
cjom w Lublinie, z urzędu zajmującym się turystyką. Czytam
bowiem w tymże „ITM”: „Wojewódzki Ośrodek Informacji Tu-
rystycznej w Lublinie, do którego zwróciliśmy się z propozycją
przedstawienia wizytówki tej ziemi — przez dwa tygodnie „or-
ganizował” wyprawę, która skończyła się niczym, bowiem nie
umiano wysłannikom ITM podać nawet najogólniejszej infor-
macji o tej pięknej ziemi”. Pewnie — niech nam turyści nie
zawracają głowy.

„Każy doskonałe rozumie, że łatwiej jest pisać niż czytać”
— twierdzi KTT w „Życiu i Nowoczesności” (nr 185). Ale chy-
ba jest odwrotnie. Bo gdyby KTT przeczytał, co sam napisał
wyżej, pewnie by nie spodził zdania (jednego), które zajęło aż
25 wierszy druku. Nie każdy przecież może być Kraszewskim.

Numer 28/74 „Literatury” ma szansę przejść do historii lite-
ratury. W tymże bowiem numerze redaktor naczelny „Litera-
tury” Jerzy Putrament zakończył druk „rzeczy”, napisanej
przez swego najbardziej wyjątkowego pracownika — Jerzego Pu-
lamenta. Ponieważ nad ową „rzecz” pt. „Rapanau” zaczęli
się już wszyscy felietniści w kraju — z wyjątkiem, natu-
ralnie, publikujących w „Literaturze” — poprzestano tylko na
odnotowaniu tego historycznego faktu. I wreszcie zaczęły czytać
„Literaturę” od deski do deski.

JOD

Walentyna Sulima
smak miłości i życz

Tych wszystkich, którzy w czasie letniego urlo-
pu po raz pierwszy biorą do ręki „Kamień”, in-
formujemy, że akcja naszej powieści (zamieszczamy ją w autonomicznej rubryce „Początek”) nabiera nowego rozmachu. Ta informacja powinna
wystarczy. Kto ciekaw, jak było przedtem, niech
szuka starych numerów „Kamień” po bibliotekach
lub znajomych...

(20 — odcinek jubileuszowy)

— Pytasz, Basiu, czy muszę być zaopatrzeniow-
cem? — Mariusz uśmiechnął się i delikatnie po-
glaskał ustami dziewczynę. — A cóż bym robił in-
nego? To moja pierwsza w życiu posada i, jak do-
ład, daje sobie z nią radę. Masz może jakąś pro-
pozycję?

— Ja nie, ale gdybym porozmawiała z moim oj-
cem... Tata ma głowę do interesów. Nie masz po-
jęcia, jak bardzo bym chciała, abyś pojechał z
nami do Bulgarii. Byłbyś niezależny. Pieniądże nie
grają przecież dla ciebie żadnej roli.

— Jak możesz tak mówić? Nigdy nie pracowałam,
a forsę nie przychodzi wcale lekko. To, co mam, to
żelazny kapitał, który spadł na mnie jak z nieba.

— Najgorzej jednak zaczynało wówczas, gdy czło-
wiek nie ma ani grosza. Pieniądż robi pieniądż.
Tak mówi mój ojciec i na pewno ma rację.
Mariusz milczał. Cóż miał odpowiedzieć Barbarze?
Inna była ich mentalność. Ona wychowywała się
w ciempiarnianych warunkach, on — w domu dzie-
cka. Jakkolwiek by tłumaczył, widział, że ona go
nie zrozumie. Czy zresztą sity może zrozumieć
głodnego?

Nad ranem dojechali na miejsce. Szybko wybiegli
z pociągu, aby nie czekać na taksówkę. Udało im
się złapać pierwszą z brzegu.

— Zatelefonuj do mnie po południu — powie-
dziła Barbara na pożegnanie. Ucałował ją w po-
liczek.

— Znakomicie wywiązał się pan i panna Zuzanna
z zadania — oświadczył kierownik, gdy Mariusz
zreferował mu efekty swego pobytu w Katowicach.
Tak pan krótko u nas pracuje, nie ma pan prak-
tyki żadnego doświadczenia, że aż podziw bierze,
że tyle udało się panu złatwić. Będę musiał popa-
dać z dyrektorem, może uda się uzyskać choć małą
podwyżkę. Jak się inne zakłady dowiedzą, że ma-
my tak dobrego zaopatrzeniowca, to zaraz zechcą
pana skaperować. Dato pan wypil wodki przy tych
interesach?

— Ani kieliszka! Wszystko jest raczej zasługą
panny Zuzanny...

— No, no! Niech pan nie będzie taki skromny!
Ale o awansie dla panny Zuzanny też pomyślmy.
Z nią zresztą będzie łatwiej niż z panem, bądź co
bądź dużej pracuje. Na razie w nagrodę zwalnim
pana dzisiaj od wszelkich zajęć. Must pan być zmę-
czony po podróży. Panna Zuzia też może iść do
domu. A jutro z nową energią do roboty!

Mariusz rzeczywiście potrzebował snu. Ale przed-
tem koniecznie chciał się spotkać z Niną. Gdy
wrócił do swego pokoju, aby wziąć teczkę, zadwoi-
nił telefon. Zuzanna wzięła do ręki słuchawkę:
— To do pana, panie Mariuszu! — powe-
działa oficjalnie. Zorientował się, że nie chciała, aby inni
wiedzieli, że się już po irlandii.

Użył rozradowany głos Ninę:
— Och, jak bardzo się cieszę, że już przyjecha-
łeś! Chęć z tobą porozmawiać. Mam tyle, tyle no-
wini!

— Doskonale. Mogę zaraz wpaść do ciebie. Zwol-
niono mnie z pracy.
— Boże, co się stało? — Nina przeraziła się.
— Nie dostawiono zwolnienia, po prostu na dzisiaj.
Zebym odpoczął.
— A ja już myślałam najgorsze. No więc przy-
chodź, Kochany, przychodź jak najzwyklej!

Mariusz spoglądał na Ninę ze zdziwieniem. Nigdy
jej takiej nie widział. Zauważył, że zaczęła używać
szminek, że tuszem podkreśliła brwi i rzęsy. Czy-
niała to jednak bardzo delikatnie i ze smakiem.
— Ładnie dzisiaj wyglądasz — powiedział.
— A wiesz, dlaczego? Chyba zakochałam się. Co
ciebie tak zdziwiło? Nie wolno mi? Kiedyś trzeba
się zakochać.
— Zaraz... Pozwól, że usiądę... A kto jest tym
twoim wybrańcem?
— Nina, początkowo powoli, zaczęła dzielić się wra-
żeniami z ostatnich dni. Niczego nie pomijała. Mówiła
szczerze ze wszystkimi szczegółami. Opowie-
dziła, jak poznała Roberta, jak ten się jej oświada-
czył, jak ona przyjęła to jako żart i wreszcie jak
on zaproponował datę ślubu — koniec września.
— I co ty na to? Naprawdę chcesz wyjść za nie-
go za miesiąc? Nino! To wszystko brzmi jak bajka.
Wprost trudno mi uwierzyć.
— Mariuszu, nie wierzę. Boję się. Nie tak łatwo
podjąć taką decyzję.

(dca)